№ 41 Piątek, dnia 9 Lipca 1875 roku. Tom I.

OGNISKO DOMOWE
Tygodnik

WARSZAWA
dnia 27 Czerwca (9 Lipca)
1875 r.

„OGNISKO DOMOWE" wychodzi w każdy piątek.
CENA PRENUMERATY: w Warszawie: rocznie rs. 4 kop. 50; miesięcznie k. 38.
" " na prowincyi i w cesarstwie: rocznie rs. 6; —
kwartalnie rs. 1 kop. 50.

REDAKCYA
przy ulicy Ś-to Jerskiej Nr. 1769b.
(nowy 12) róg Nowowiniarskiej.

NA MYLNEJ DRODZE.

POWIEŚĆ
W OBRAZKACH Z NASZEGO ŻYCIA.
przez
Krystynę Narbuttównę.

(Dalszy ciąg. — Patrz w Numer 40).

Zasiedliśmy do stołu, ale zaledwie obniesiono pierwszą potrawę, kiedy nagle chłopak kredensowy, który nosił z kuchni półmiski, wpadł do pokoju wołając „Sokołów się pali!" runęły krzesła, wszyscyśmy się porwali i wybiegli na ganek. Od strony ogrodu, ujrzeliśmy z przerażeniem szeroką łunę na niebie, a z za drzew wzbijały się w górę kłęby dymu tak czerwone i gęste, że przysiądzby trzeba, że tuż za ogrodem się pali. Sokołów był to dwór naszych sąsiadów o parę wiorst od naszego położony. Jeszcześmy zapatrzeni nie mogli ochłonąć z osłupienia, kiedy już z drugiej strony domu słychać było donośny głos naszego ojca wydającego rozkazy, a nie wyszło i dziesięciu minut, gdy na dziedzińcu stało kilku ludzi na koniach a ojciec dosiadał wierzchowca, którego stajenny mu podawał, spinającego się i rozhukanego niezwykłym pospiechem i gromadnem zebraniem innych koni w około. Ś. p. ojciec mój mógł mieć lat wtedy z górą czterdzieści, był otyły, ale wyniosłej postawy i jak na teraźniejsze czasy niezwyczajnie dziarski, łatwo więc i lekko dosiadł konia i od razu z przed ganku pomknął z kopyta, za nim poskoczyła służba i cała drużyna znikła w bramie. My wszyscy pobiegliśmy w róg ogrodu skąd i odjeżdżających i pożar dokładniej widzieć można było. Jak dziś pamiętam, widno było jak w dzień, w stronę pożaru, przez pola po świeżej ścierni, o kilkanaście kroków naprzód sadził złotogniady perski ogier Szach, ulubiony przez nas wszystkich, na którym ojciec mój siedział jak przykuty, a za nim dworscy parli co koń wyskoczy. Pożar nietylko, że się nie stłumiał ale owszem z coraz większą siłą się szerzył. Z miejsca gdzieśmy stali nietylko dym i łunę ale i płomień wyraźnie było widać; co chwila nowy słup ognisty buchał, co znaczyło, że rozhukany żywioł szerzy zniszczenie i coraz to nowe zabudowanie zajmuje. Staliśmy wszyscy zapatrzeni i aż w oczach majaczyło od blasku, a tu jakby umyślnie wicher się zerwał i dął przenikliwy a chłodny; około nas zebrała się gromadka kobiet i indwalidów dworskich, resztę zaś zdatniejszych rządca z ekonomem zabrali na fornalki i powiezli w posiłku na miejsce nieszczęścia. Zimno się zrobiło, i my z Kaziem drżeliśmy po części z chłodu a więcej z przerażenia. Matka to spostrzegła, wysłała nas do domu i kazała spać się położyć, ale miły Boże, jakże tu spać było? Wprawdzie niebawem wszyscy się zeszli do pokojów, pozamykano drzwi i okna, ale światła nie gaszono, nikt ze starszych nie kładł się, a w oczach nieustannie stał pożar i silnem wrażeniem strachu przejmował; wszakże nad ranem znużenie podziałało i sen skleił powieki.

Na drugi dzień już słońce było wysoko kiedy mię zbudził niezwykły ruch w domu, porwałam się na równe nogi, ubrałam na prędce i wybiegłam na ganek gdzie już i Kazia znalazłam. Na dziedzińcu stało mnóstwo koni zaprzężonych, bryczek, cudzych ludzi, słowem istne obozowisko; w domu rwetes, bieganina, służba się uwija, przez otwarte okna słychać było w jadalnym pokoju gwar i głosy kilkunastu osób, pobiegliśmy więc tam. Przy stole na którym wśród szklanek i rozmaitych przekąsek, dwa ogromne samowary buchały kłębami pary, siedziało kilkunastu mężczyzn sąsiadów bliższych i dalszych, a każdy poczerniały, okopcony dymem, jakby z bitwy powracał. Rozmawiano głośno o wypadku zeszłej nocy, a z tej rozmowy i my dowiedzieliśmy się, że cały dwór spłonął do szczętu, oprócz jednego mieszkalnego domu, który z wysiłkiem największym zdołano uratować; ale największą może z tego wszystkiego klęską było to, że cały zbiór tegoroczny tylko co zwieziony do stodół pozostał z dymem, ani ziarnka zboża nawet nawet na zasiew nie pozostało; szczęściem, że przynajmniej inwentarz żywy potrafiono wypędzić i ustrzedz od płomieni. Zaczęto radzić jakby co najprędzej naprawić to zło jakie się stało; narada nie długo trwała, widać, że każdy już pierwej obrachował z czem będzie mógł przyjść z pomocą, bo bez namysłu to powiedział; więc jedni zapowiedzieli, że dostarczą zboża, inni drzewa na pilniejsze zabudowania, uradzono ażeby bydło i owce rozebrać częściami na zimowlę do siebie i tak jakoś znalazło się wszystko co było niezbędnem ażeby panią T. z dziećmi ustrzedz od zupełnej ruiny majątkowej. Słuchaliśmy tej narady z niewypowiedzianą ciekawością i choć dzieci jeszcze, niezmiernie nas to interesowało, tak żeśmy i o śniadaniu zapomnieli. Po skończonej uchwale, wybrano z grona dwóch egzekutorów woli ogólnej, poczem ojciec kazał nam matki poprosić; pobiegliśmy żywo, ale i ona też zajętą była: przed oficyną, gdzie były główne składy spiżarniane, stały dwie parokonne fury, na które ładowano faski z masłem, beczki z solonem mięsiwem i słoniną, różnej wielkości worki i inne prowizye konieczne we dworze wiejskim. Matka wydawszy ostateczne rozporządzenia, poszła do pokoju, a i my za nią; tam opowiedziano jej na czem z narady stanęło i polecono ażeby pojechała do Sokołowa i starała się uspokoić panią T. o przyszłość, bo sąsiedzi sami się zajmą zasiewem pól i postawieniem pilniejszych zabudowań.

Po śniadaniu wszyscy się rozjechali, ojciec poszedł odpocząć, zaszły konie dla matki, która już na ganku, jakby się namyśliwszy trochę, niespodzianie powiedziała nam „dzieci, i wy możecie jechać także," nie trzeba nam było powtarzać tego wezwania, skoczyliśmy jak stali i jednym susem byliśmy w powozie. Kiedyśmy wjechali na dziedziniec Sokołowa, ażeśmy osłupieli. Z tego dworu takiego zasobnego, gęsto i obszernie zabudowanego, tylko dom jeden widniał na zielonem tle ogrodu, z reszty zaś budowli tylko gdzie niegdzie sterczał słup osmolony, bliższe drzewa nawet stały czarne bez liści, ale na dziedzińcu pełno było ludzi i fur jakby na targu, takich samych jak te co od nas wyprawiono, na nich oprócz mnóstwa worków, fasek i beczek, krzyczały powiązane gęsi, kury, kaczki, indyki, nawet prosięta przeraźliwie krzyczały, kręcąc się w workach. Na spotkanie nasze wyszła pani T. blada, zmieniona ale spokojna. Dzisiaj jeszcze żywo tę chwilę sobie przypominam. Matka nasza spełniła dane sobie polecenie i bez żadnych ogródek, nie siląc się na to, by ofiarą sąsiedzką nie zranić miłości własnej, po prostu powiedziała co uradzono. Pani T. i jej synowie już dorośli, nie wysilali się także na wynurzenie swojej wdzięczności, przyjęli to jako rzecz prostą, naturalną, samo z siebie wynikłą, widocznie czuli, że i oni sami w danym razie to samo dla innychby zrobili. Jak było postanowiono, tak się też i stało, i jeszcze przed zimą stanęły pilniej potrzebne zabudowania, a pola jak zawsze zielono runiały; znać że zasiewano je chętną i życzliwą ręką bo dosyć piaszczyste i sapowate Sokołowskie grunta, nigdy podobno nie wydały tak pięknego plonu jak w roku następnym. Tak to u nas pojmowano obowiązki sąsiedzkie i taka to serdeczna zażyłość i ufność ludzi z ludźmi wiązała. Otóż w jednym z takich kraju naszego zakątków, którym promień łaski bożej świecił widocznie, z dawien dawna tam osia-

dły był ród Tymirów. Ostatni tego nazwiska Piotr Tymir miał tylko dwie córki, które wydał za mąż, jedną za Władysława Gasztolda i ta była matką Anny, jednej z dzieweczek, któreśmy przed chwilą poznali, druga zaś Tymirówna wyszła za Jana Krasnopolskiego i to była matka Wandy. Obie były w zupełności szczęśliwe w swoim wyborze, bo też inaczej być nie mogło; narzeczeni znali się od dzieci i od najmłodszych lat swoich patrzyli na siebie, wzajemnie znali swoje wewnętrzne usposobienia, charakter, skłonności, a nawet upodobania; więc kiedy się pobrali, nie doznali żadnych zawodów i rozpoczęli nowe życie spokojnie, bez szarpaniny i prób żadnych, a i rodzice obydwóch par nie potrzebowali się niepokoić o przyszłe szczęśliwe pożycie dzieci, mających się połączyć nowym węzłem, bo rodziny te od kilku pokoleń żyjąc z sobą w miłości i zażyłości, dobrze wiedzieli w jakim kierunku i pod jakim wpływem chowała się młodzież, i że jak to u nas zwykli mówić, z poczciwego jest gniazda. Obydwom siostrom przez pierwsze lat kilka po ślubie snuło się życie pogodnie, spokojnie i błogo; bez chmurki żadnej; ale jestże kto z ludzi, coby długo mógł się cieszyć niezamąconem szczęściem? Więc i tu los jakby sobie wetować chciał niezwykłą łaskawość, gradem jedne po drugich ciskać zaczął bolesne ciosy na obie rodziny. Najpierwiej więc w niespełna rok jeden po drugim, poumierali starzy Tymirowie, niedługo za niemi poszło dwoje drobnych dziatek państwa Gasztoldów, wreszcie razu jednego, sam Krasnopolski zaziębił się na polowaniu, dostał tyfusu i umarł osierocając żonę i jedyną córkę. Pani Krasnopolska całą duszą do męża przywiązana, nie mogąc przenieść jego śmierci, zachorowała ciężko, a kiedy po dwóch miesiącach zawieszenia pomiędzy życiem a śmiercią nastąpiło przesilenie, zaczęła wprawdzie powoli do sił przychodzić, ale okazało się się, że już nosi w płucach początki suchot: żyła jeszcze lat kilka, lecz życie to było niedołężne, nieustającego cierpienia pełne i z każdym dniem gasnące. Nieboszczyk Krasnopolski, człowiek energiczny i czynny, chcąc rozszerzyć spuściznę po rodzicach objętą, zaczął dokupywać przyległe cząstki zagrodowej szlachty, ale że nie miał dostatecznego na to gotowego kapitału, należność za przykupioną ziemię w większej części opierał na Zbruczu, tak się zwał jego majątek dziedziczny. Szlachta chętnie zgadzała się na takie układy, bo znaną była sumienność Krasnopolskich rodziny, i na słowie ich każdy polegał. Gdyby żył Krasnopolski, przy swej zaradności, łatwo byłby uregulował interesa swoje z zupełnem zadowoleniem wierzycieli, ale śmierć nagła wszystko zwichnęła. Dopóki żyła jeszcze wdowa, szlachta cierpliwie kontentowała się procentami, ale kiedy nakoniec i pani Krasnopolska zgasła, wierzyciele tłumnie dopominać się zaczęli o swoje sumki. Na wezwanie pana Gasztolda sąsiedzi i krewni zebrali się na naradę i ściśle rozpatrzywszy stan interesów Krasnopolskich, okazało się, że chcąc uratować fundusz dla pozostałej corki potrzeba Zbrucz sprzedać. Nabywca znalazł się natychmiast, co za piękną majętność ofiarował się dobrze zapłacić gotówką. Gasztold zajął się czynnie sprzedażą, a po opłaceniu wierzycieli, pozostałą okrągłą sumkę stu tysięcy złotych natychmiast odwiózł do Warszawy i ulokował w banku na posag dla Wandy. Sierotkę zaś, już wtedy trzynastoletnią, państwo Gasztoldowie zabrali do siebie, dzieląc pomiędzy nią i własną jedynaczką serdeczną miłość i troskliwą opiekę. Odtąd już Anna i Wanda nie rozstały się ani na chwilę wzrastając razem; wykształcenie naukowe otrzymały o ile można najstaranniejsze, ale domowe. Pani Gasztoldowa ostrożną była bardzo w wyborze nauczycielek, które sprowadzała do domu; sama z nieporównaną bacznością czuwała nad rozwojem uczuć i wyobrażeń córki i siostrzenicy, śledząc najdrobniejsze odcienia ich charakterów i usposobień. Charaktera te wszakże rożniły się z sobą, a mianowicie w głównych zarysach.

O ile życie Anny, aczkolwiek myślącej i zdolnej skupiało się przedewszystkiem w sercu, o tyle Wandy, żywej i bystrego umysłu, miało widocznie swoje główne ognisko w głowie; zarówno jak jedna tak druga miały najszlachetniejsze popędy i uczucia, lecz w tem zachodziła różnica, że wtedy kiedy Wandy uniesienia często były w istocie wrażeniem silnem, ale pobudzonem grą łatwo zapalającej się wyobraźni, u Anny zaś spokojniejsze ale głębokie i trwałe. Na dnie każdego uniesienia wrażliwej Wandy dostrzedz było można zawsze choć malutkie ukryte ja, Anna zaś miała niezmiernie wydatną cechę kobiecości w tej abnegacyi z jaką z łatwością a nawet z pewną rozkoszą zapominała o sobie, gotowa do ofiary. Pomimo, że w chwili od której rozpoczynamy nasze opowiadanie, Anna była jak widzimy w tej epoce życia swego, kiedy się staje zaledwie na jego progu, to jednak ktokolwiek na nią uważnie patrzył, odgadywał łatwo, że głównym motorem jej życia będą zawsze uczucia serdeczne i ciche poświęcenie się, a najmilszą pracą, praca dla ukochanych.

Wanda najzacniejszych rodziców córka, jak najlepsze też miała skłonności z natury; ten odcień zaś egoizmu, który się objawiał w jej charakterze, wynikł skutkiem zbiegu nieszczęśliwych okoliczności, które jej dziecinnemu wiekowi towarzyszyły. Osiem lat miała zaledwie kiedy straciła ojca, a pani Krasnopolska jak to już wspomnieliśmy wpadła w ciężką i nieuleczoną chorobę. Któż z nas nie wie o ile takie nieustanne cierpienie fizyczne, zwłaszcza z moralnych udręczeń wynikłe, odejmuje siłę myśli i chakteru; znękana więc i osłabiona, nie była w stanie zdobyć się na systematyczne i wytrwałe zajęcie się kierunkiem córki, dla której miłość nieograniczona utrzymywała ją jedynie przez czas jakiś przy życiu. Uśmiech, pieszczota dziecka, były dla niej jedyną osłodą i błyskiem szczęścia, który rozświecał jej życie smutne i już na wpół martwe; nie miała więc siły sprzeciwić się w niczem woli pieszczotki, ani się zdobyć na jakąś stanowczość w tym względzie; domownicy też widząc jak każde zajście z dzieckiem robiło niewypowiedzianą przykrość matce i pogorszało stan jej zdrowia, strzegli się je wywoływać dogadzając dziecku we wszystkiem, co wszakże każdemu przychodziło łatwo, bo dziewczynka roztropna, żywa i ładna, umiała sobie otaczających zjednywać. Tym to sposobem Wandzia wcześnie bardzo instynktowo zaczęła czuć, że jest wszechwładną panią tego małego światka co ją otaczał, i powoli, stopniowo rozwijało się w niej poczucie egoizmu coraz bardziej absolutnego, a przyczyniało się jeszcze do tego nie pomału to, że z ojca wzięła charakter energiczny i zdobywczy. Natura dziecka to pulchny grunt, zarówno złe jak dobre ziarnko łatwo się na nim przyjmuje, i korzenie swoje głęboko w młodem serduszku zapuści; ale też gdy szkodliwy chwast jakiś, raz się w niem rozrośnie, jakże trudno ze szczętem wyplenić go ztamtąd i pomimo najusilniejszych starań tych co go zniszczyć usiłują, przy pierwszej zręczności na wierzch wypływa.

(D. c. n.)

Życie indywidualne i społeczne,

jako materyał dla poezyi.

skreślił

ANTONI PILECKI.

I.

Zaledwie pierwsza jutrznia ducha zabłysła nad młodzieńczą ludzkością, wnet dziecięcą

U OGNISKA.

(T. T.)—Zgodzi się każdy... *dobrze wychowany* człowiek, iż pisać fejletony przy skwarze jak obecny i pisać je jeszcze *U ogniska*, jest co najmniej poświęceniem równającem się temu, jakiego dokonał niedawno p. Spinelli, zdecydowawszy się dla dobra ludzkości zmarznąć w zimnie 20% Reaumura... pod obłokami. Wprawdzie tamto poświęcenie było *nadziemskiem*, nasze *ziemskiem* jest tylko; ale zawsze, nie dajeż ono prawa kronikarzowi, do użycia choć raz w tydzień przynajmniej zimnego prysznica w jednej z wiślanych łazienek? Przeświadczeni o słuszności tak skromnej pretensyi, wybraliśmy się onegdaj marszem żołnierza, co zrobił swoje i spieszy teraz po nagrodę, na Zjazd ku Pradze, aby stamtąd przewiózłszy się łódką na drugi brzeg rzeki, znaleźć się wreszcie w przybytku, gdzie w koszach i w omnibusach i w szafach zwanych prysznicami, chłodzą sobie śmiertelni bracia i siostry nasze, zapocone od gorąca... figury.

Wyprawa ta jednakże przekonała nas najdosadniej, iż niewdzięczna ludzkość nietylko, że nie myśli wcale o kronikarzach, ale nadto, nie przyznając im widocznie najmniejszej nawet zasługi, obchodzi się z nimi gorzej jeszcze, niźli ot, choćby z każdym pierwszym lepszym... krawcem, szewcem lub farmaceutą.

A najprzód... posadzono nas w łódce, która z powierzchowności swojej, już nie mówię że wyglądała, jak statek do przewozu krów, cieląt i wszelkiego rodzaju bydła, ale nadto była tak dziurawą, iż śmiało można było posądzić kierującego nią przewoźnika, o zamiar spławienia nas w wodzie znacznie wcześniej niż była potrzeba i... w miejscu niewyznaczonem wcale na kąpiel przez czuwającą nad życiem naszem policyą.

Następnie, upakowawszy nas tam bez żadnego względu na czyjkolwiek stopień towarzyski, rangę lub urodzenie jego, w liczbie sztuk do trzydziestu,—wywieziono na sam środek Wisły, gdzie, o Boże! tylko modlitwom do patronów swoich winni jesteśmy, żeśmy się wszyscy, najhurtowniej w świecie, nie potopili. Wyrzucono nas wkońcu przed jedną z szop pływających, z wnętrza której na całą Pragę rozchodziły się najdziksze krzyki, mogące przyprawić o febrę samego... Wagnera, i—co dalej się stało, już nie pamiętam. Wiem tylko, że wprowadzony przez poczciwca jakiegoś do ogrodzenia napełnionego wodą oraz żydkami, rozebrany przez niego gwałtownie i wrzucony prawie do wilgoci, wyszedłem z niej wkrótce powalany piaskiem i szlamem, który przez całe półgodziny musiałem potem własną chustka od nosa (bo ręcznika nie podano mi wcale!) z grzesznego kronikarskiego ciała, ocierać. „A prysznic ów—spytacie—na który pan rachowałeś?"—Prysznic?... Gdzie tam! Ani mi się śniło już zapytywać o niego. Miałżem poświęcić się jeszcze na to, aby i moja niepokalana dotąd głowa, głowa bądź co bądź pełna fejletonowych myśli, aby mówię i ona, podobnym może piaskiem i kurzem, jaki pokrywał resztę mego ciała, została najniewinniej przysypaną?

Uciekłem z łazienki i przybiegłem do domu zdyszany.

Tyle o kąpieli.

Wieczorem dnia tegoż znalazłem się *na*

skroń jej utulił w swe białe skrzydła świetlany anioł — dziecię marzeń i zachwytu. To geniusz pierwszej myśli, przyświecającej człowiekowi, pierwszego uczucia, które zadrgało w jego piersi. To postać ślepego Homera, opiewającego krwawe dzieje wojowniczego ludu, to duchy wieszczych proroków, opiewających przyszłość dzieciom Izraela. I naród cały szedł za głosem wieszcza, bo czuł, że on go wiedzie do świątyni prawdy i piękna, bo czuł, że w pieśni jego żyją tętna tych uczuć, które drżą w sercach tłumu i prowadzą go do chwały i odrodzenia. Pieśń i życie— to były dwie harmonijne struny, które nie raziły nigdy niemiłym dysonansem. Wieszcz czuł to, co i naród cały, a naród ten ukochał on duszą całą, dla niego żył i śpiewał. Stąd też głos jego był głosem niebios, głosem pomsty lub przebaczenia.

Nie myślimy tu bynajmniej uwieńczać dziejów owej prastarej ludzkości, laurem bezwzględnej prawdy i piękna. Były one wielce poetycznemi to prawda; bo też młodziutka ludzkość żyła przeważnie uczuciem i to uczuciem potężnem i gorącem. Ale ta poezya właśnie zaciemnia nam nieco mroczny i tak widnokrąg przeszłości, nie dozwala ujrzeć tam wielu stron ujmujących niejeden listek z owego wieńca, którym ozdobiliśmy duchy bohaterów starożytności. Jak wszystko, co przeszłe, niepowetowane a młodzieńcze pełnią uczuć potężnych, życie ich ma dla nas urok niewypowiedziany. Lecz nie tu miejsce na krytyczne wywody dziejowe. Jeżeli zdjąwszy z oczu szkła nowoczesnych pojęć i idei, przypatrzymy się starej ludzkości, dopatrzymy tam szczytne objawy poetycznego ducha, kapłani którego palili rzetelne ofiary na ołtarzu piękna, ofiary przed któremi lud padał na kolana, bo czuł, żą są one prawdą życia, że z ducha i krwi jego powstały.

Gdybyśmy tak w historycznym ciągu przebiegli całe dzieje ludzkości, z łatwością przekonalibyśmy się o tej prawdzie że wszystko, co wielkie i potężne pozostało w pieśni, wytworzył duch ludu, duch uczuć i myśli współczesnej ludzkości.

Lecz nie tu miejsce tak na historyczne, jak i na teoretyczne wywody w tej kwestyi. Przyjmujemy je, jako prawdę, uznaną przez większość nowoczesnych myślicieli i aż nadto jasną dla bezstronnego umysłu. Przyjmując więc tę zasadę, że kardynalną podstawą życia społeczeństwa, różnorodne jego tętna, widoczne i tajemne prądy uczuć i myśli, postaramy się przedewszystkiem zdefiniować te objawy.

Społeczeństwo żyje życiem podwójnem. Każda ze składających je jednostek ma swój odrębny zakres uczuć, myśli i dążności, mniej lub więcej oryginalnych lub wspólnych z ogółem. Tu to rozwija się cała różnorodność indywidualności i typów, różnorodność objawów myśli i uczucia.

Niezależnie od tego rozwija się inne życie, którego objawy aczkolwiek wspólne pod wielu względami z indywidualnem życiem jednostek, mają jednakże pewne odrębne cechy i innym pod wielu względami ulegają prawom. To życie całego społeczeństwa, złączonego węzłem jednostki. Indywidualność zaciera się tu w całości i w różnorodnych tylko zacieniowaniach jej barwy, uwydatnia cechy swoje.

Dwojakich tych objawów życia nie oddziela bynajmniej jakaś ścisła granica, ale przeciwnie, pewne zjawisko należy niekiedy do obu kategoryi. One to właśnie, jak się później przekonamy, stanowią najbogatsze źródło dla poety i w ogóle belletrystycznego pisarza.

Częstokroć też odcienia są tak subtelne, że trudno przyznać pewnemu zjawisku bardziej indywidualne lub społeczne znaczenie. Umiejętność odróżniania, opiera się tu na głębokiej znajomości objawów i praw życia społecznego. W dalszym ciągu postaramy się też wykazać, o ile przymiot ten stanowi ważny warunek umiejętnej produkcyi.

Przypatrzmy się bliżej indywidualnemu i społecznemu życiu pewnego narodu, ujrzymy tam mimo wspólnych wogóle cech, różnorodne dążności, różne, niekiedy wprost przeciwne sobie uczucia i poglądy. Z drugiej też strony tak pojedyncze jednostki, jak i społeczeństwo całe, walczyć muszą z zewnętrznemi warunkami życia, z światem je otaczającym, który zawiera w sobie z jednej strony wiele zabójczych żywiołów, a z drugiej materyały niezbędne dla istnienia naszego. Ze starcia się różnorodnych sił powstaje walka, która stanowi prawdziwe życie. Bez niej wieczna martwota oziębiłaby wszystkie tętna społecznego rozwoju. Nie sądźcie czytelnicy, abyśmy pojmowali tę walkę, jako brutalny wybryk siły fizycznej, lub jako wieczną niezgodę jednostek. Słońce miłości wiecznie nam przyświecać powinno. Charakter tej walki jak ją humanitarni myśliciele pojmują w innej przedstawia się formie. Lecz dotychczas jest ona *pium desiderium*. Starcie się różnorodnych żywiołów społecznego życia wywołuje niekiedy dziki oddźwięk okrutnego gwałtu. Szczęśliwy współzawodnik w walce życia, stąpa niekiedy po sercach współbraci.

Jednostka żyjąc w społeczeństwie, oprócz wspólnych jej idei i dążności, ma swoje odrębne potrzeby, myśli, uczucia i cele. Na drodze do zaspokojenia pierwszych a uskutecznienia drugich, czeka ją walka 1) z zewnętrznemi warunkami bytu, 2) z takąż samą sferą indywidualności drugich jednostek, 3) z mniej lub więcej słusznemi formami społecznego bytu. W walce tej igra burza gwałtownych uczuć, występują tytaniczne niekiedy objawy woli. Cała faza objawów duchowych w życiu jednostki, która pod ciągłą mniej lub więcej wybitną walką, od pierwszego objawu niezadowolonej potrzeby ducha, aż do wściekłego zgrzytu boleści pod naciskiem okrutnej katuszy, tworzy całą gamę uczuć, mniej lub więcej dramatycznych sytuacyi, które przedstawiają niewyczerpany materyał dla poetycznej produkcyi.

Dalej losy pewnej sfery jednostek, społeczeństwa lub ludzkości całej, jaśnieją również niewyczerpanem bogactwem poetycznego blasku. Gwałtowne porywy walki dziejowej, świetne meteory wspaniałych idei odrodzenia i w ogóle wszystko, co potęgą i pięknem porywa serca—oto wielkie tło, na którem natchniony duch poety rozsnuć może wiele wspaniałych obrazów, oto bogactwo wielkich idei, które opromieniać winny całą twórczość jego.

Tak w jednostkowem, jak i w społecznem życiu, obok świetlanych obrazów prawdy i piękna, napotykamy ponure cienie zbrodni i w ogóle wszelkich ujemnych objawów duchowości ludzkiej. O ile ostatnie mogą stanowić przedmiot poetycznej twórczości, rozstrzygają to zasadnicze prawa estetyki. W każdym razie potęga ponurej grozy prowadzi również do krainy piękna.

Wiemy więc, że niewyczerpany materyał dla poetycznej twórczości przedstawia nam życie, — ale życie prawdziwe, życie gorących uczuć, walki i czynu. Leniwa wegietacya, osłabienie sprężyn duchowości, gnuśna niemoc ducha i wogóle to wszystko, w czem nie czuć prawdziwej siły psychicznej — nie mają wstępu do krainy piękna. Jeżeli tego rodzaju typowość występuje częstokroć w sztuce, porusza w ogóle mniej podniosłą nutę poetycznego nastroju. Piękno sztuki uwydatnia się tu tylko w sile produkcyi, w dosadności charakterystyki—słowem twórca wytłacza tu na swojem dziele piętno swego talentu, co nadaje mu cechę produkcy artystycznej. Wogóle wszystko zależy tu od zręczności autora, i prawdziwy tylko talent zachowa prawdziwe piętno sztuki i natchnienia. Prócz tego podniosła i ważna w życiu idea, która opromie-

---

Fliegem w Dolinie. Trafiłem na *Polkę*, której nie pamiętam tytułu. Z strasznych taktów jednakże sądzę, iż powinna się nazywać „Waryatka.“

Autor wyraźnie sadził się na to, aby utworzyć coś takiego, czegoby w żaden sposób nie podobna było zwyczajnemi nogami *wyskakać*. Cyrk Salamońskiego przypomniał mu się najwidoczniej. Tam tańczą lepiej, niż po salonach naszych podczas karnawału. Otoż i dla takich tancerzy *Polka*. Dano za nią bravo Fliegemu.

Przyszła mi z tej całej okazyi filozoficzna do głowy uwaga: „Dlaczego mianowicie taniec, który nic polskiego w sobie nie ma, nazywają „polką?“ Taniec strasznie głupi przytem— tak mi się przynajmniej wydaje. Szanujemy mazura, poloneza, walca... kadryla nawet, gdyż to są tańce narodowe. Temperamenty narodów odbiły się w ich dźwiękach... powiemy nawet, że więcej, bo dusze narodów. *Z zabaw ludzi, ludzi się poznaje*. Ale „polka!“ taniec bezmyślny, który nic w sobie prócz głupstwa nie zawiera, cyniczna jakaś mięszanina dzie-cinstwa z kankanem—po co to się gra i tańczy? i co to to ma do Polaków? Uwerturę z „Wilhelma Tella“ usłyszeliśmy po owej *Polce*. Wszystko się tak płacze na świecie. Z posadzki szlifowanej salonu, z atmosfery salonowego zaduchu, ze świata krochmalonych spódniczek, fałszywych turniur, urzędowych wesołości, i affektowanych zapałów... przenieśliśmy się nagle w szeroki przestwór poezyi *czynu* i *natury*. Słońce z zorzą zaczęło nam świtać nad głową; ranne muszki zaczęły brzęczeć; stąd flet pastuszka, stamtąd śpiew słowika zaczął budzić nam duszę do życia; poczuliśmy rozmarzenie na to, aby po niem zapragnąć dzieła, czynu, bohatera, Tella! Oto mi muzyka i to mi śpiew! Skąd, zapytaliśmy się tu znowu, człowiekowi podobnie wielkiej tuszy jak Rossini, tak tłustemu i nie wyglądającemu wcale na artystę jakim był on, mogły przyjść podobne uczucia, podobne myśli i poglądy do głowy i serca!?...

Przyznacie, że Fliege nieźle wykonywa te rzeczy. Niemiec popisał się na gruncie naszym wcale przyzwoicie. Należy mu się za to uznanie i... żal, że nas wkrótce opuszcza. Jakiś Wiedeńczyk miał go podobno zastąpić od 10-go lipca w Dolinie, ale, jak słyszymy, zupełnie co innego zaszło. Panna Keller z swoją trupą kankaniarek, śpiewaczek i aktorek, ma się tam rozsadowić.

Czyby już nie dosyć było tej francuzkiej włóczęgi po Warszawie?

Dobrze grają wprawdzie galliganki, ale... tyle już a tu nas tego Offenbacha, tych pięknych Helen, Sinobrodych i Girofle'ów! Nie prawimy wcale morałów; zachowaj nas Boże od officyalnej pruderyi; ale... naprawdę... czyby już tego nie dosyć. Oprócz pana Teksla i Trapszy, którzy, jak wiemy, nie żałują nam wcale tych przysmaków, pan Grabiński nawet z Tivoli wystąpił w przeszłym tygodniu z Małym Faustem! Pan Grabiński! człowiek przyzwoity! który dotąd dawał nam tylko Korzeniowskiego, Fredrę i podobnych!

„Faust mały“—*mały*...

A kiedyż *wielkiego* zobaczymy Fausta? Gram na pobudkę panowie dyrektorowie! Kto z was ma dobre uszy,—usłyszy.

niać winna i opromienia zwykle tego rodzaju płody twórczości piśmienniczej, unosi się nad nią w świetlanej barwie ideału.

Wykazawszy w ogólnych zarysach całość objawów życia indywidualnego i społecznego, jako materyały dla poezyi, postaramy się w następnym artykule rozebrać szczegółowo te objawy, aby wykazać w formie ogólnych teoryi i pojedyńczych przykładów, jakie mianowicie w nich mogą służyć za przedmiot twórczości, stosownie do zasadniczych praw sztuki i społecznego jej znaczenia.

ETAPY SUCHOTNICZE.

Listy z podróży Kazimierza Z.

(rok 1867 do 1869).

(Dalszy ciąg).

Współcześnie z Palladiem mieszkał w Wenecyi i Sansowino, Florentczyk, który jednak do weneckiej liczy się szkoły, gdyż w Wenecyi mieszkał najdłużej i tam umarł w r. 1570. Jest to jeden z najznakomitszych artystów złotego wieku Italii. Zwyciężony we Florencyi w konkursie na budowę kościoła Ś-go Wawrzyńca przez Michała Anioła, pokonał za to Rafaela i San-Galla w konkursie rzymskim, na budowę kościoła Ś-go Jana Chrzciciela. Właśnie podczas gdy kierował robotami około tej świątyni, Rzym oddanym był na pastwę rabunku przez Konetabla de Bourbon, a artysta musiał szukać przytułku w gościnnej dla artystów Wenecyi.

Senat wenecki, wiedząc już o sławie znakomitego artysty, polecił mu budować bibliotekę Ś-go Marka. Czy to skutkiem złego materyału, czy niedozoru, bo trudno przypuszczać złe obliczenie w planach Sansowina, dość, że główna nawa gmachu runęła a budowniczy według praw Wenecyi miał być śmiercią karany. Sansowino został już wtrącony do lochu i oczekiwał chwili egzekucyi, kiedy Tycyan, ceniący słusznie genialnego mistrza, wystąpił w jego obronie przed senatem, a bronił go tak wymownie, że Sansowino nietylko uwolnionym został, natychmiast ale powierzono mu nadto daleko ważniejsze prace. Biblioteka Ś-go Marka, którą odbudował, uchodzi dotąd za arcydzieło sztuki budowniczej, lecz przedewszystkiem uwielbiać należy Sansowina jako rzeźbiarza. Drzwi bronzowe w zakrystyi Ś-go Marka, całe pokryte płaskorzeźbami, czterej Ewangieliści zdobiący balustradę kaplicy, dwa kolosalne posągi Marsa i Neptuna na schodach olbrzymów od nich właśnie tak nazwanych, posąg Ś-go Jakóba dla kościoła Santa-Maria-del-Fiore i prześliczny mały Bachus w muzeum, dobitnie przekonywają o zasłużonej sławie mistrza, i usprawiedliwiają stanowisko jakie zajął w sztuce weneckiej.

Uf! zmachałem się czytelnicy, a raczej przychodzi mi myśl, niestety po niewczasie, że za nadto wiele pozwoliłem sobie zboczeń dla historyi narodu i sztuki jak na podróżującego suchotnika, to też na przyszłość obiecuję poprawę i ani troszkę już odtąd magistralnego tonu przybierać nie będę. Pozwólcie mi tylko jeszcze jeśli łaska, odbyć z wami maleńką wycieczkę po mieście gondolą, a gdy poznacie zemną główne gmachy, ulice, kanały, trochę życia dawnego i nowego, wyjedziemy spokojnie do Nicei i Mentony, które już przecie ani wielkiej przeszłości historycznej, ani artystycznej za sobą nie mają. Zresztą mógłbym i ja przytoczyć coś na swoją obronę, żem się tak o Wenecyi rozpisał. Oto było mi tam dobrze, nawet za dobrze może, a choć wspomnienia nazbyt osobiste w zakres tych listów nie wchodzą, to jednak niemniej pozostały w pamięci na długo, i są przyczyną, że o Wenecyi krótko mówić nie umiem i nie mogę.

Z towarzyszów moich Delateau z początku towarzyszył mi stale w wycieczkach ale następnie, zachwycony wdziękiem panny Giuseppiny z teatru Apollo (przebacz jej boże, albowiem nie wiedziała co czyni) ugrzązł w tym teatrzyku zupełnie. Mortopulos zaś, przeciwnie, po tysiącznych awanturach z powodu, iż jak utrzymywał, Wenecyanie nie umieją mówić po włosku, powrócił do nas i z przemianami to mnie, to Delateau dotrzymywał towarzystwa. Dwie szczególniej z przygód Mortpulosa o mało go nie naraziły na przykre zajścia. W pierwszej wybrał się do Lido z jednym tylko gondolierem podczas bardzo silnego wiatru i przez cztery godziny stać musiał na kanale w forcie, nie mogąc się ruszyć ani w jedną ani w drugą stronę; w drugiej zaś, postanowiwszy zwiedzić dwa pancerniki Formidabile i Terribile, które właśnie świeżo do weneckiego portu zawinęły, narobił jakichś awantur na okręcie i został odesłany do aresztu. W obudwóch wypadkach szczęśliwie znaleźliśmy się w porę aby go wyciągnąć z kłopotu, ale za to musiał przyrzec solennie, że już się nigdzie sam bez nas nie ruszy. Życie nasze zatem upływało w ten sposób. Staliśmy w prywatnem mieszkaniu na Gran-canale, w pałacu marmurowym i w wspaniałych komnatach, w których może niegdyś przemieszkiwała rodzina doży, lub Senator rzeczypospolitej. Od 9-ej rano trzeba już było z przepisu lekarza znajdować się na wolnem powietrzu, więc szliśmy do jakiejś kawiarni na plac Ś-go Marka, tam wypiwszy wyborną czekoladę rozdzielaliśmy się zwykle. Delateau szedł z ranną wizytą do teatru, ja na oglądanie jakiegoś kościoła, do Akademii lub biblioteki, a Mortpolos dzielił losy jednego z nas, dając sobą kierować z bezprzykładną łagodnością. O 5-ej schodziliśmy się znowu na kawę, a o 7 na obiad, który w ogóle jest dobry i tani w Wenecyi. Apropos kawy wspomnieć mi wypada, że w Wenecyi koniecznie kilka razy dziennie kawę czarną pić należy, gdyż jest to jedyny środek ochronny od gorączki, której podlega każdy nie chcący używać tak prostej ostrożności. W swoim czasie Alfred de Musset stał się ofiarą tyfusu z powodu wstrętu jaki do czarnej kawy żywił i jedynie gorliwej opiece p. Dudevant zawdzięczał jeszcze kilkoletnie życie. Wieczory w Wenecyi spędza się w teatrze na placu Ś-go Marka lub na piazzecie, patrząc na morze w noc pogodną. Ostatnie zajęcia jest według mnie najprzyjemniejsze. Co do teatrów, to tych Wenecya posiada kilka a największego rozgłosu używa teatr Fenice. W Malibran grywają się zwykle komedye lub mniejsze opery, a Apollo jest teatrem ludowym.

W ogóle teatra włoskie mają swój specyalny charakter zupełnie od naszych odrębny. Przedewszystkiem każdy prawie teatr włoski jest budowany na akcyach. Zamożniejsi obywatele składają się, rząd ze swej strony daje subsydyum i powstają owe wspaniałe gmachy jak: San Carlo w Neapolu, La Scala w Medyolania, Fenice w Wenecyi, Carlo felice w Genui lub Pergola florencka. Taniość marmuru, mozajki i łatwość w dostaniu rzemieślnika niezmiernie się przyczynia do ich wspaniałości i świetności. Zresztą zamiłowanie do widowisk jest tak wielkie we Włoszech, że w najmniejszych nawet miasteczkach zdarzało mi się spotykać teatr, przy którym za nasz szumnie wielkim nazwany, rumieniłby się wypadało. Nie mówię już o takich miastach jak Bolonia, Piza, Ferrara, Padwa; ale w maleńkiem miasteczku Reggio di Modena znalazłem teatr na 2,000 osób, istne arcydzieło przepychu i gustu. Otóż kiedy teatr już staje, panowie akcyonaryusze, jako wynagrodzenie za swoje wkłady otrzymują na wieczne czasy, prawo własności lóż lepszych lub gorszych, stosownie do ilości wkładu. Rozumie się, że każdy swoją własność, stara się przystroić jak naj-

---

Trzeba i troszkę ofiary zrobić ze swej kieszeni. Ci ludziska, co tam do was chodzą, warci są tyle, aby i dla ich dobra coś poświęcić. Biedactwo to przychodzi spragnione duchowego spoczynku; szuka światła poomacku jak może, samo nie wie gdzie go dostać i iść po nie. „Teatr, mówią mu lepsi duchem, to szlachetna rozrywka, nauka i ukształcenie.“ Więc idą do ogródków waszych, do *teatru*. Dajcież im tę naukę, ten duchowy spoczynek, to ukształcenie. Szewc nad kopytem niech sobie też pomarzy trochę o *lepszych* ludziach i *lepszych* rzeczach, które ujrzał na scenach waszych. Niech zamyśli się czasem przy *podeszwie* i przypomni, że jest inna odzież dla nóg a inna jeszcze dla *duszy*. Czynami bohaterów Szekspira, budźcie w nim *tęsknotę do postępu*; ukazując mu sprawy życia wystawiane przez Fredrę w jego dramatach, uczcie go *szlachetności i cnoty*.

Bądźcie *nauczycielami* nie dyrektorami komedjantów. Pamiętajcie, że z powołania *nauczycielami* jesteście!

Gdyśmy już zawadzili o ogródki, wspomniemy o jednym jeszcze, który najmniej może znany od publiczności tutejszej, najwięcej jednakże ma prawa do jej pamięci. Ogródek to Froeblowski dla dzieci na Foksalu przy Nowym Świecie, gdzie się dziś znajduje instytut wód mineralnych p. Szmitta. Po prawej zaraz stronie od wejścia, widzimy małe zabudowanie z drzewa, poza którem urządzona gimnastyka i opodal od niej małe klombiki z zieleni, wskazują, że to ustronie musi być czemś więcej, niźli miejscem przeznaczonem dla samego tylko spaceru. Jakoż istotnie, pomiędzy godzinami 10-tą i 1-szą z południa, oraz 4-tą i 7-mą popołudniu, znaleźć tu możemy każdodziennie do sześćdziesięciorga mniejszych i większych dziatek, chłopczyków zarówno jak i dziewczynek, uwijających się skrzętnie po murawie, lub też siedzących dokoła stolików, które to dzieci pod kierunkiem nauczycieli i nauczycielek, bawią się wesoło w gry pożyteczne, lub też rozwijają umysł opowiadaniami, według systematu Froebla podawanemi im przez starszych. Śliczny istotnie widok, gdy ta dziatwa cała, niby wieśniacy wracający z dziennej roboty, zbiorą się o 7-ej wieczór razem, pod dachem budynku, o którym wspomnieliśmy właśnie, i na motyw coraz inny podawany przez dozorczynią, śpiewają chórem, klaszcząc wesoło w rączki, tudzież odpowiedniemi gestami urozmaicają ten śpiew sobie. Dziwi nas, że Warszawianie, którzy tyle trzyrublówek umieją wydać przez miesiąc na puste zabawy i cyrki Salamońskich, żałują tychże trzech rubli, gdy idzie o wychowanie dziecka, mimo, że ten wydatek tysiąckrotnie w skutkach „swoich“ przyniósłby im plony. Dowodem tej oszczędności liczba sześćdziesięciorga dzieci w ogródku, gdy szczupła w stosunku do liczby blisko *trzykroćowej*, mieszkańców naszej stolicy.

Wzmianka o szkole i o wychowaniu, naprowadza nas na inną myśl jeszcze! Oto po szkołach przeznaczonych dla doroślejszej młodzieży rozpoczęły się już wakacye. W tym czasie gimnaziści nasi, na łonie rodzin swoich mają sposobność, jak wiemy, przez całe dwa miesiące odpoczywać. Chcemy więc powiedzieć, iż wartoby ojcom i matkom takich dzieci, które oddalone od ogniska domowego, przez rok cały żyły pod opieką obcych sposób, spożytko-

świetniej i urządzić jak najwygodniej, loże włoskie są też istnemi salonami, w których właściciel przyjmuje wizyty w antraktach i podczach przedstawienia. Właściciel każdy posiada klucz od swojej loży, a jeśli nie chce być w teatrze, posyła go na sprzedanie, albo do kasy, albo wprost przed teatr i stąd właśnie pochodzi, że do lóż nie ma we Włoszech biletów, a tylko sprzedają się klucze. Nic ciekawszego jak handel na loże (po włosku „palco") w dzień jakiegoś ważniejszego przedstawienia. Często się zdarza, że klucz od loży jest całym majątkiem biedaka odziedziczonym po przodkach; to też proszę posłuchać jak się droży w rannych godzinach, jeśli ma śpiewać znakomita primadonna, lub nową wystawiają operę.

Quattro centi liri signore non posso lasciar lo (chiare) a minimo prese. Kiedy się przychodzi popołudniu, już klucz zjechał do stu franków, wieczorem wart 25, a po pierwszym akcie nie rzadko najlepszej loży za 2 do 5 franków dostanie, jeśli naturalnie nie ma za wielkiej *furii* i od rana wszystkich lóż nie rozchwytano, co się zresztą bardzo często przytrafia. Oprócz lóż są jeszcze kszesła (*sedie*) i parter. Sedie są to miejsca numerowane, rodzaj naszych krzeseł, bardzo wygodne i eleganckie choć nigdy przez *buon monde* nie zajmowane, gdyż Włoch z przyzwoitego domu, miałby sobie za ubliżenie mieszać się z innemi nieznanemi ludźmi. Parter jest naprzód poza krzesłami a następnie zajmuje kilka a co najmniej dwa piętra nad lożami.

Aby się dostać do teatru nie dosyć jest opłacić klucz do loży lub sedią, trzeba mieć jeszcze na każdą osobę bilet wejścia, który jest właśnie jedynym rzeczywistym dochodem występującej truppy. Bilet taki musi posiadać każdy, kto chce wejść do teatru, a cena jego również ulega przemianom stosownie do teatru i składu występujących artystów. W Wenecyi do Fenice wejście kosztowało 3 franki, do Malibran 1 frank a do Apolla 20 centimów (około 5 kopiejek,) kto opłacał wejście może się mieścić gdzie chce; czy na parterze, czy na galeryach a jeśli kupił klucz to sobie otwiera loże. Zwykle w wielkich teatrach dają się tylko opery i balety i to nie więcej jak po trzy na cały sezon abonamentowy. W Pizie byłem kolejno 26 razy na Rigolecie i 19 razy słuchałem Balu Maskowego, a w Wenecyi przy nas 18 razy grano Faworytę, i kilkanaście razy Nabuchodonozora.

(D. c. n.)

Z NAUK PRZYRODNICZYCH.

Ziemia, jej dzieje geologiczne i składniki.

I.

Zagadnienie poczęcia się ziemi rozwiązane przez Laplace'a.—Doświadczenie wspierające jego teoryę.—Atmosfera.—Wytworzenie się skorupy ziemskiej.—Pierwotne morze i lądy.—Ruch obrotowy ziemi.—Klimaty i strefy.—Głazy błędne naniesione przez potoki dilmojalne.—Kratery wulkanów.—Czy z wulkanów wyrzucanym bywa płomień rzeczywisty?—Rozwoje stopniowe życia na ziemi.—Pokłady warstwowane.—Formacye geologiczne skorupy ziemskiej i jej składniki główne.—Geognostyczny atlas polski Puscha.—Prace Zeisznera i Hempla.

Na ziemi i w jej podziemiach, w topielach morza i w szlakach powietrznych krzewi się życie w najrozmaitszych postaciach. Dostrzegamy jego ogniwa wszędzie, nawet w kropli wody i w pyłku unoszącym się w powierzchni, w którym mikroskop wykrywa zarodki jestestw maluczkich, a pomimo to zdumiewających nas misternością swego ustroju. Kiedy i w jaki sposób poczęło się to życie? Jak wytworzyła się ta olbrzymia jego arena na której wiecznie wrze bój zawzięty jestestw ścierających się z sobą o pierwszy warunek życia i pożywienia? Widzieliśmy przed soba bogaty płaszcz zieleni i kwiecia, widzimy lwa poszukującego ofiary w puszczy, rozbójniczego rekina w morzach, orła w przestworach powietrznych rzucającego się po zdobycz, żmiję pełzającą w głębi lasów i zapytujemy, w jakiej chwili dziejowej zrodziły się te twory i ich matka żywicielka, ziemia.

Teerya powstawania świata zwana *Kosmogonią*, od najdawniejszych czasów zaprzątała umysły przyrodników i myślicieli, przez długi czas błąkano się w labiryncie czczych domysłów dopóki przyroda nie dostarczyła obserwacyi pewnych danych, na podstawie których nauka wskazała czynniki towarzyszące poczęciu się wszechświata.

Znakomity fizyk francuzki Laplace pierwsze nakreślił szkice prawdopodobnego wytworu ziemi, opierając się na spostrzeniach naukowych.

Według niego, słońce i całe rzesze planet, były pierwotnie w stanie mgławicy gazowej, to jest pojawiły się najpierwej w postaci materyi daleko rzadszej od warkocza komet.

W środku kuli gazowej naszej planety, powiada Laplace, nastąpiło gęstnienie czyli poczęło się tworzyć jądro i otrzymało się szybki ruch obrotowy masy gazowej. Następnie w skutek siły odśrodkowej powstał pierścień na obwodzie materyi mgławej. Pierścień ten oddzielił się, potem gęstniał zwolna i w końcu skupił się w jedną kulę, i w ten sposób powstała pierwsza planeta, a następnie inne. Niektóre przecież z oderwanych pierścieni utrzymały się, a między innemi pierścień otaczający Saturna. Coś podobnego zaszło z mgławicami, które nie skupiły się w jedną planetę, lecz rozdzieliły w niezliczoną liczbę drobnych ciał niebieskich, które dziś nazywamy *asteroidami* lub *planetoidami*.

Z utworzeniem się ostatniej planety to jest *Merkurego*, zakończył się nasz układ planetarny, którego środkowy punkt stanowi słońce, wywierające potężną siłę przyciągania na wszystkie planety.

Teorya Laplace'a nietylko wyjaśnia nam poczęcie się ziemi i jej fazy rozwojowe, ale nadto znajduje poparcie w doświadczeniu. Jeżeli do naczynia szklannego wlejemy wody i spirytusu, w takim stosunku aby utworzyły mieszaninę gęstości oliwy, a następnie dodamy odrobinę czystej oliwy, to ona wkrótce znosząc ze wszechstron jednakowe ciśnienie przyjmie kształt kulisty. Gdy zaś przesuniemy drucik przez tę kulkę oliwną i poruszając tymże nadamy jej szybki ruch wirowy, to kulka najpierw się spłaszczy, a następnie wytworzy się z niej coś podobnego do pierścienia Saturna, który to pierścień przy nieustannym obrocie wirowym rozpryśnie się na drobne kuleczki.

Wróćmy do ziemi w stanie gazowym. W skutek działania sił chemicznych składniki jej zaczynają zbliżać się ku sobie, skupiać, jednoczyć, przyczem naturalnie musi się wywiązywać ciepło. Za wpływem tegoż ciepła z gazów wytworzyła się atmosfera i otoczyła nierównie od niej gęstsze jądro ziemskie, miękkie i rozpalone. Cała masa wód przedstawiających się nam dziś w postaci oceanów nie istniała naówczas na ziemi, lecz unosiła się w powietrzni w stanie pary wodnej. Ziemia wszakże utraca zwolna cieplik w skutek promieniowania. Trudno topliwe jej związki chemiczne jak naprzykład, krzemiany glinki, oddzielając się tworzą pierwszą cienką skorupę. Ta zbiegiem czasu grubiejąc, odgraniczyła całkiem rozpalone jądro ziemi od jej atmosfery gazowej, z której znowu para wodna spadając w ulewnych potokach wytworzyła morze, w morzach tych niegłębokich lecz natomiast bardzo gęstych, osadzały się zwolna sole w nich rozpuszczone; skorupa twardniejąca na powierzchni ziemi, zaczęła w wielu miejscach pękać, jak to ma miejsce na gruntach glinia-

---

wać czas ten na zreperowanie w piersiach tychże dzieci i w mózgach ich wszystkiego, cokolwiek pod wymienionym obcym wpływem, popsuć się mogło. Niech syn wyrostek przy boku matki przypomni sobie znowu czystość serca i duszy, z jaką ta go od siebie w świat wypuściła; niech inny, pod wzrokiem ojca, odżywi znów w sobie chęć do pilności i pracy, którą raz już posiadał, a która w nim słabnąć zaczęła; niech od ojca nauczy się znowu szanować honor i godność własną, jeśli dla tych przymiotów zobojętniało mu trochę serce.

Lecz widzimy, że wpadamy zanadto w ton kaznodziejski. Mógłby nas jeszcze kto posądzić, żeśmy się wychowywali w Seminaryum, albo że przynajmniej należymy do jednego z owych bractw świętych, których w naszej Warszawie jest więcej, niżeli w innem jakiemkolwiek mieście.

Boże nas uchowaj od takiego nabożeństwa! nas, co tyle grzechów mamy na sumieniu, iż nie wiemy nawet jak na nas patrzą, w najłaskawszej ze wszystkich... *literackiej* od archikonfraternii!

Wspomniawszy o literaturze choć tak niechcący, powinienbym wam czytelnicy, korzystając niby z okazyi, powiedzieć teraz, co się też i w tym świecie... piękno-twórstwa i twóro-piękna dzieje.

Czy Kuryer Codzienny spiera się jeszcze z Warszawskim? czy Gazety z Wiekiem prowadzą dawną wojnę? Tygodnik Illustrowany czy również jak zawsze poważny? i Kłosy czy takież same jak dawniej mają „Pokłosie"? Ach prawda! pani Ilnicka czy nie napisała czasem rzeczy jeszcze *idealniejszej* od Beaty? etc etc... co tam w ogólności słychać jeszcze?

Otóż odpowiem, że w tem wszystkiem com wymienił dopiero, moi drodzy, panuje *status quo*, podobny do wojny króla Alfonsa z Karlistami. Trzeba bo wam wiedzieć kochani, że wszystko w świecie łatwiejszem jest do odmieniania się i postępowania naprzód, jak nasza poczciwa *literatura*. A tem bardziej w Lipcu! teraz! miły Boże! gdy słońce palące ponad głowami ledwie nam dyszeć swobodnie pozwala—gdy koguty nawet podwórzowe przestały się zalecać do kur swoich—gdy wszystko wkoło śpi od znużenia, jakby się miało już nigdy nie obudzić!

Przychodzi mi na myśl, jak to tam musi być ciepło braciom naszym we Włoszech i niżej jeszcze, kiedy u nas taki skwar straszny. A jednak tyle osób wybrało się znów w tym roku zagranicę, i tyle polskich pieniędzy wypłynęło znów za nią, aby okupić te skwary, ten sam kurz i pył, co nas tu dusi.

Oto pisze mi jeden z takich turystów, człek zresztą, co wcale w poważnym celu wybrał się był w pielgrzymkę, iż tęskno mu już bardzo za Warszawą naszą.

Autor „Szkiców," znany nam dotąd pod pseudonymem Klina, z innym turystą, który dał się też poznać niedawno opisem swej podróży po Jerozolimie i Grecyi, p. Bartschem, powzięli niedawno zamiar odbycia małej a w spólnej już podróży, po Zachodo-Północy Europy. Otrzymuję od jednego z nich częste

stych w czasie gorących dni lata. Materye roztopione wydobywały się przez powstałe stąd szczeliny na powierzcahnię ziemi, a z drugiej znów strony woda wciskała się w te rozpadliny, i ścierała z ogniem wewnętrznym naszej planety.

W skutek tej walki wody z ogniem, skorupa ziemska wydyma się jak pęcherz, pęka tu i owdzie, i wylewają się na jej powierzchnię materye pozostające w jej łonie, przy tem wszystkiem części stałe ziemi oddzielają się od płynnych, powstają lądy i wyspy na rozległym oceanie.

Lądy te składają się już to ze skał uwarstwionych, już z mas z łona ziemi wydźwigniętych. Wody wytworzyły osady zwane *neptunicznemi* przy współdziałaniu zaś ognia powstały utwory *plutoniczne*, skały i góry. Pierwsze wyniosłości górskie były niskie, gdyż gazy z łatwością przebijały cienką powłokę ziemską. Z biegiem czasu powłoka ta grubieje, stawia silniejszy opór gazom, które też z daleko większą gwałtownością wyrzucają masy minineralne. Garby też górskie później wyformowane są daleko wynioślejszemi od pierwotnych. Skorupa ziemska powolnie grubiała, lecz im trudniej przeciskała się do jej wnętrza woda, tem gwałtowniejszy zachodził przewrót we wnętrzu ziemi, tem silniej parły gazy i wyrzucały masy mineralne na powierzchnię naszej planety. Stąd też najwyższe góry na ziemi, jak Himalaje, Andy, Alpy są najpóźniejszemi wytworami górskiemi. Przy tem wszystkiem działały inne jeszcze czynniki. Powietrze wpływało na wietrzenie skał, woda je wypłókiwała z kolei, stąd powstały rumowiska, zwir, muł i piasek. Wygląd też ziemi zmieniał się, fale morskie podmywały lądy, łożyska wód podwyższały się lub obniżały, powstawały torfowiska i wydmy piaszczyste. Woda przytem przesycona kwasem węglanym rozpuszczała z łatwością wapienie, z któremi wchodził w związki kwas krzemny istniejący w tychże wodach w stanie rozpuszczalnym.

Gdy ziemia ostygła do tego stopniu, że promieniejącejej ciepło mogło być zastąpione ciepłem promieni słonecznych, skorupa naszej planety przestała się kurczyć, a natomiast zaczął się powiększać jej ruch obrotowy i wyraźniej odznaczać klimaty. W skutek tego powstały strefy czyli zależności ciepła na powierzchni ziemi od promieni słoneczuych, i nastąpił wreszcie okres zwany *lodowym*. Głazy *błędne* nazywane u nas *kamieniami polnemi* są odłamami skał gór Skandynawskich, przeniesionemi w te strony przez góry lodowe przy współdziałaniu wylewów wód, czyli potopów dilmojalnych. Na wielu punktach ziemi istniały przecież rozpadliny, przez które materye z wnętrza ziemi mogły się przedzierać na jej powierzchnię. Otwory te nazwano *kraterami wulkanów*, przez nie z wnętrzności ziemi wylewa się *lawa* i inne utwory wulkaniczne.

Liczymy dziś na ziemi przeszło trzysta wulkanów, niektóre z nich wystąpiły z łona morza, jak to miało miejsce w epoce nam współczesnej na wyspie Ferdynandei i Santorynie.

Czemuż przypisać mamy wybuchy wulkaniczne? Oto wodzie przyciśniętej do głębi ziemi, która zmieniając się w parę w zetknięciu z materyami rozżarzonemi, wywołuje trzęsienia ziemi poprzedzające wybuch wulkanów. Gdy wulkan ma wyrzucić ze swego łona materye rozpalone, wydostają się zeń najpierw dymy, poprzedzające wybuch, następnie z krateru wyrzucanym jest popiół, wreszcie lawa niszcząca wszelką roślinność. Humboldt nazywa słusznie wulkany *klapami bezpieczeństwa*, gdyż w braku tych otworów gazy, ze straszliwą swą siłą prężności, rozsadzałyby naszą ziemię, i zaburzały nieustannie porządek panujący w przyrodzie.

(*D. c. n.*)

Z ZAGRANICY.

III.

Duch czasu.—Helota. — Teatr francuzki.—Powódź w południowej Francyi. — Nieobliczone straty. — Zuchwały dowcip literacki. — Zmartwychwstanie Goldoniego.—Smierć powtórna.

Duch czasu jest wszechwładnym panem; trudno przypuścić aby mu się cokolwiek oprzeć zdołało w zakresie wiedzy i sztuki. Duch ten, tem bardziej staje się zagarniającym, jeżeli poczyna znęcać temperamenty wrażliwe siłą zepsucia i pokusy.

Otóż w Paryżu w znanym *Teatrze francuzkim*, odegrano niedawno jedno aktową sztukę. Drobny rozmiar komedyi nie ubliża sztuce bynajmniej, chodzi tu więc o jego ujemną zawartość estetyczną. Wspomniany teatr całą potęgą tradycyi swojej opierał się do ostatnich czasów przypływowi swawolnej muzy scenicznej nowego pokroju. Pokazało się jednak, że scena ta poczęła giąć się w estetycznych postanowieniach swoich. Zeszłego roku wystawiono w *Teatrze francuzkim* znaną komedyę Dumas'a „Półświatek.“ Obecnie odegrano na scenie tej jednoaktową sztukę p. t. *Helota* przez Monselet'a. Jestto sztuczka pełna dwuznaczników swawolnych, którym nawet kankan towarzyszy. Dążnością tej jednoaktówki jest ośmieszenie surowego życia, wstrzemięźliwości od wina, i prawych związków małżeńskich i t. d. Wszystko to dotyczy spartańczyków. Autor tedy drwi sobie z owej surowości, która nareszcie ulega wesołym i chciwym użycia zasadom ateńskim. Akcya jest następującą: Chremes wcale dobroduszny Spartańczyk, posiada bardzo piękną lecz zarazem bardzo skromną niewolnicę i młodego siostrzeńca Leandra. W dniu w którym upajano helotów, aby ich stanem zbudzić obrzydzenie do opilstwa w młodych spartańczykach, Chremes wychodzi z mieszkania aby wyszukać pijanego helotę i takowego pokazać swemu siostrzeńcowi. Chremes spotyka na mieście mężczyznę w odzieży helockiej, z głową uwieńczoną różami, z zaczerwienionem obliczem i lubieżnemi oczyma. Prowadzi go tedy do siebie. Tu opiły demaskuje się i okazuje się Gothonem, służącym Alcybiadesa skazanego na wygnanie, który dla żartu przebrał się w szaty helockie. Postanawia on zaś młodego Leandra i piękną niewolnicę poddać władzy Bachusa i Kupidyna, co mu się zresztą w zupełności udaje. Nauki ateńczyka bardziej paryzkiem aniżeli spartańskim wierszem wyłożone, pełne dwuznaczników, skutkują mocno. Dwaj młodzieńcy garną się do pucharów, rozgrzewają się winem, wygłaszają swobodnie nie zbyt skromne czułości i nareszcie rzucają się w objęcia kankana, któryby zdołał zadowolnić widzów Mabilu. W ten więc sposób posępna Sparta podbitą zostaje przez wesołe Ateny, i czcigodni prawodawcy likurgowi, stają się w sztuce tej przedmiotem urągowiska, w taki sam sposób, jak olimpijscy bogowie w *Orfeuszu* ofenbachowskim. Sztukę tę przedstawiono w *Teatrze francuzkim* z przepychem w duchu antycznym objawiającym się w nader lekkich i zbyt powiewnych szatach i kostiumach. Wyobraźcie sobie, że sztuka ta przemówić nie zdołała nawet do usposobienia wesołych paryżan. Też same śmiałe żarty i podskoki wesołe podobały by się w teatrach bulwarowych:— wystawione zaś na scenie *Teatru francuzkiego* wywołały niechęć, tem bardziej, że stan obecny Francyi nie zezwala na wskrzeszanie w teatrach nieskromuych wybryków drugiego cesarstwa. Trudno też pojąć, że teatr, który we Francyi uchodzi jako najpierwszy przybytek sztuki przyjął do repertuaru swego podobną sztukę. Komedyjka ta uczy-

---

listy i żałuję bardzo, że nie mogę się, dla braku miejsca, z czytelnikami swemi, wiadomościami przesyłanemi mi przez niego, podzielić. Dla przestrogi tych tylko, którzy o bytności w Anglii *np.* lub Szkocyi marzą niby o jakiem jabłku złoconem, myśląc o tych dwóch krajach, że to ziemie *wolności i rozumu*, gdzie wszystko co jest *dobre* i *wyborne* w kontraście do naszej, *obrzydłej*, jak się wyrażają, Warszawy, powiem, aby się nie zapalali bardzo. Owa Anglia bowiem i osobliwie Szkocya, te *mądre* krainy Szekspirów i Walter-Skottów dyabelnie podobno nudnemi są i zadusznemi zbliska.

Wszystko, jak Klin pisze, ma być tam *Shoking!* życie płynie jak w kazarmach jedną stałą rutyną, i papierosa nawet zapalić ci niewolno, jeślibyś to chciał zrobić w nieprzeznaczonem na to miejscu i godzinie. Pełno na każdym kroku ostrzeżeń, zakazów i przykazów. Tędy nie chodź—tam nie staj—tu nie siadaj... a tam znów siedź, choć ci się nie chce. Dziękuję za taką przyjemność. List mi donosi jeszcze, iż Europejczycy mają zwiedzać, jako nadzwyczajną osobliwość, pokłady jakieś Bazaltu, które się pokazały w bliskości prawego brzegu Irlandyi, w morzu, zwane: „Mostem Olbrzymów.“ Ma to wyglądać istotnie, jak most zaszły w morze, i świadczy jakie dziwy wyrabiała natura pod względem swoich pierwotnych, przedpotopywych formacyi.

Na zakończenie podaję wam historyjkę z bruku, w której, niedawniej jak wczoraj, byłem sam pomimowolnym aktorem.

Otóż, gdym bardzo śpieszył przez ulicę, zatrzymuje mnie nagle jakiś dość czysto ubrany *obywatel*, i prosząc, abym mu przeczytał karteczkę napisaną w nieznanym mu jakoby, bo niemieckim języku, wciska mi takową prawie gwałtem w rękę! Na karteczce stał sobie prosty bardzo adres: „Herrn Peterson, im Hause wo der Weinladen, rechts der Gasse“ i nic więcej, niewyraźnym wprawdzie bardzo nakreślony pismem. Gdy więc tak, chcąc dogodzić natrętowi swojemu, wczytywałem się w litery, aby sens napisu rozebrać, czuję, że mi mój sąsiad sięga najnieprzyzwoiciej do kieszeni.

Należało go zaraz schwycić i oddać pod opiekę policyi. Przyszła mi jednakże chęć pustsza do serca, której wykonania nie mogłem sobie od mówić.

Trzymając kartkę dalej przed oczyma i udając że wcale nie czuję przy sobie złodzieja, zacząłem czytać litera po literze: „Nie przekraczaj nigdy siódmego przykazania—jeżeli nie chcesz się dostać na Pawiak!“

Złodziej cofnął natychmiast ciekawą rękę— a ja ukłoniwszy mu się, poszedłem dalej.

Przestrzegam publiczność przed nowego rodzaju, *oszustem* i... niech mnie ta osoba bardzo nie przeklina, która po mnie zaraz została przezeń okradzioną.

---

niła zapewne na widzach wrażenie, jakie wywołałoby pojawienie się na eleganckim salonie człowieka w kamizelce.

Do poczciwych objawów we Francyi, a szczególniej w Paryżu, należy wrażenie, jakie wywołała tam straszna powódź w południowej Francyi. Wrażenie to tak było silne, że zepchnęło na drugi plan samą politykę nawet. W istocie rzeczy, nędza i rozpacz z przyczyny owej powodzi straszną jest w południowych departamentach; dla dopełnienia wiadomości telegraficznych w tym względzie, podajemy następujące szczegóły. Powódź daleko większe poczyniła spustoszenia, aniżeli to przypuszczano na razie. Blizko trzysta domów zostało zburzonych. W Tuluzie, dzielnica zamieszkana przez robotników fabryki tytoniu, leży obecnie w gruzach; przyczem wielu robotników zginęło. Do północy dnia 25 z. m. znaleziono w domach nie zburzonych około stu trupów, w zburzonych zaś liczba jest znacznie większa. Sześćdziesiąt osób płci męzkiej, a siedemdziesiąt niewieściej zostało poranionych. Rada gminna wyznaczyła tymczasem 100,000 fr. dla dotkniętych powodzią. Ludność ogarnięta jest straszną apatyą. Trzy w pobliżu mieszczące się wioski powódź zrównała z ziemią; w czwartej wiosce z 400 domów pozostało nietkniętych dwa tylko. W Vérdun znaleziono 12 zabitych a 80 ludzi zginęło bez śladu.

Również smutno brzmią wiadomości z innych okolic np. z Montauban. Stan wody na Garonnie jest o jeden metr wyższy jak 1835 r. uważany za najwyższy w bieżącym stuleciu. Prawie wszystkie osady są zniszczone, a ludność pozbawioną została zupełnie swego mienia. Dopiero 26 z. m. pomyślniejsze przychodziły ztamtąd wiadomości; w wielu miejscach przywrócono przerwaną z przyczyny powodzi komunikacyę kolejową. W departamencie Lot-et-Garonne szkody wyrządzone powodzią były niezmierne; w miasteczku Moissac 170, a w La Magistère 50 domów poszło z wodą. W Bagnéres-de-Bigorre powódź zerwała trzy fabryki. Aby wspomódz poszkodowanych biedaków Paryż i inne miasta Francyi pospieszyły ze znacznemi zapomogami. Anglja również znaczne urządziła składki na rzecz poszkodowanych powodzią. Choćby jednak miljony uzbierano, nie pokryje to strat nieobliczonych w dobytkach i ludziach. Ludzi zginęło 3,000; straty materyalne wynoszą 300 miljonów fr.

* * *

Dowiadujemy się o zajmującem fałszerstwie literackiem we Włoszech. Przed niedawnym czasem, odegrano w Medyolanie komedyę pod tytułem „Samolub z rozmysłu,“ jako niby pośmiertny utwór Goldoniego. Sztuka ta z rozmaitem powodzeniem odegraną była na rozmaitych scenach włoskich, znalazło się wielu takich, którzy odrazu spostrzegli podrobione autorstwo uderzając zapalczywie na dyrektora teatru w Palermo pana Bellotti-Bon, za wystawienie tej sztuki; byli jednakże i tacy, którzy bronili autorstwa komedyi. Pokazało się jednak, że pierwsi zwyciężyli. Niedawno bowiem zjawił się autor „samoluba“—poeta *in carne e ossa*—który w wyszłej właśnie broszurze p. t. „Dzieje samoluba z rozmysłu“ z niezwykłą otwartością uczynił następujące zeznanie. Bellotti, wspomniany dyrektor, kilkakrotnie zwracał komedye Bettoli, których prace uważał jako nie kwalifikujące się dla scen. Poeta Bettoli zirytowany takim postępowaniem Bellottego postanowił srodze się zemścić. Do egzaltacyi dochodzące uwielbienie dyrektora Bellottego do sztuk Goldoniego, posłużyły poecie za narzędzie swej zemsty. Postanowił więc obdarzyć dyrektora sztuką swoją jako niby Goldoniego, i w ten sposób wystawić dyrektora na pośmiewisko. Niepoznany więc nasz geniusz wziął się do napisania komedyi á la Goldoni. Rozwój akcyi, budowa sztuki, i w ogóle zewnętrzne kontury udały się naśladowcy wybornie; djalog wszelako poszedł nię tęgo; pozostał bowiem mimo wszelkich usiłowań autora niegoldonicznym i kompromitującym prawie. Natomiast znów zręcznie urządził się z rękopismem, któremu należało koniecznie nadać pozory starości. Odszukał więc Bettoli u znajomego natarjusza parę liber pożółkłego papieru; atrament zaprawił octem i inną jakąś mieszaniną chemiczną, nadając w ten sposób inkaustowi odpowiednią barwę, nareszcie tęgem jakimś piórem nasmarował komedyę. Prócz tego autor zanurzył „Samoluba“ w płynie złożonym z kawy i kwasu cytrynowego, a zwilgocony w ten sposób rękopism pokrył lekką warstwą pyłu. Szlachetny poeta który całą tę apetyczną procedurę określa w broszurze swej z największą ścisłością i dokładnością, osiągnął cel postawiony, gdyż wspaniały jego „antyk“ ukazał się oczom jego ze wszelkiemi pozorami autentyczności. Nareszcie więc autor pod przybranem nazwiskiem P. T. Barti'ego posłał dzieło swoje, dopisawszy na stronie tytułowej następne słowa: „Samolub z rozmysłu; komedya Karola Goldoniego, w 3-ch aktach,“ otóż posłał je do Wenecyi, do włoskiej oceny bibljotekarza „Marciany.“ Bibliotekarz osądził, że komedya nie jest utworem Goldoniego, ale być może pochodzi z epoki włoskiego komedyopisarza. Pierwszy więc uczyniony przez autora krok nie zupełnie chybił; pozostało tylko powiadomić świat o tem ważnem odkryciu. Krótka wiadomość o fakcie pomieszczona w „Corriere di Reggio d'Emilia,“ pozostałaby niespostrzeżoną, gdyby osławiona ze swego sensacyjnego charakteru „Epoca,“ nie pospieszyła silniej światu rozjaśnić owego odkrycia. W kołach literackich wiadomość ta naturalnie narobiła wiele jakto mówią hałasu. Przedewszystkiem zaś pośpieszył dyrektor Bellotti napisać z Palermo do „Barti“ w Permie, aby zechciał udzielić mu tak drogocennego rękopismu. Tu nastąpiły długie petraktacye, o których Bettoli w broszurze swojej szeroko się rozpisuje; nakoniec pogodzono się i Bellotti posłał „Barti'emu“ 2000 luidorów za dostarczenie mu antyku.

Gdy po wystawieniu „Samoluba“ wielu oskarżać poczęło Bellottiego za umyślną mistyfikacyą, ten ostatni udał się celem uniewinnienia się do „Barti'ego.“ Trudno jednak było odnaleść istotę nieistniejącą. Zagnany w kozi róg i na honorze dotknięty dyrektor teatru wezwał pomocy policyi. Policya czyni wszelkie usiłowania dla odkrycia winnego: dzienniki gubią się w domysłach, zawikłanie wzmaga się, skandal rośnie — aż nareszcie zgłasza się niejaki Parménio Bettoli; prosi dziennikarzy, aby się niezapalali zbytnio i w broszurze kreśli zwierzenia swej pięknej poetycznej duszy. Ostatnia scena wprawdzie jeszcze się nieodegrała; w każdym razie jestto pouczający przykład dla dyrektorów teatralnych, aby nie byli zbyt pochopni do nabywania antyków, gdyż „Samolub“ utworzony z cytrynowego soku, kawy i innych substancyi chemicznych, kosztował dyrektora 2000 luidorów.

Z.

Z DOMU I DLA DOMU.

— Mięso. Po mleku mięso jest najpożywniejszem ze wszystkich pokarmów używanych przez ludzi, jako bogate w azot i fosforany, oraz jako zawierające w sobie wszystkie prawie składniki, jakie znajdują się we krwi, z których urabia się i odnawia nasze ciało.

Mięso wszystkich wogóle istot, jakie spożywamy na pokarm, aczkolwiek nie tylko z pozoru ale i co do ilości stosunku swych składników, znaczne okazuje różnice, wszakże główne części składowe wszystkich gatunków i rodzajów mięsa, są mniej więcej jedne i też same. Mięśnie czyli muskuły oczyszczone z tkanek tłuszczowych, kości, chrząstek i ścięgnów składają się przeważnie z włókna mięsnego i cieczy mięśniowej. Włókno powstaje z substancyi kleistej, włóknika czyli fibrinu, a własnościami swemi okazuje największe podobieństwo do włóknika krwi. Obok tych zasadniczych części składowych, znajduje się w mięsie wiele naczyń krwistych i limfatycznych, rozprowadzających płyny odtwarzające mięśnie, następnie nerwy podbudzające mięśnie do żywotnego działania; tkanki tłuszczowe, ścięgna i inne tkankowe organa.

Mięsa bez tłuszczu nie ma wcale, pochodzące bowiem z najchudszych zupełnie zwierząt, jeszcze pół procentu tłuszczu w sobie zawiera. Stósowne karmienie zwierzęcia, znakomicie podnosi ilość tłuszczu w mięsie. W samych zaś włóknach, jak również i między niemi mieści się płyn mięsny czyli ciecz mięśniowa. Jest to płyn wodnisty, w którym znajdują się wszystkie substancye służące do odbudowywania ciała, jak również i te które wydzielają się na zewnątrz potem i moczem. W cieczy zatem mięśniowej znajdują się części pokarmów, które w krew przeszły, jak białko, sernik, tłuszcz i t. p. z których mięśnie się tworzą, oraz produkta z użycia takowych, jakiemi są: kreatyn, kreatina, sarcyna i t. p. nadto niektóre sole nieorganiczne, jak fosforany, chlorek potasu i inne.

Woda stanowi najważniejszą część wagi mięsa, której różne gatunki zawierają w sobie od 50 do 80 procent, stosownie do gatunku mięsa i stopnia ukarmienia zwierzęcia. Mięso pochodzące z chudych zwierząt, zawiera w sobie daleko więcej wody niżeli dotuczonych, a jednakże sprzedaż mięsa odbywa się na wagę bez uwzględnienia tak ważnej różnicy. Dla wykazania tej niestosowności przytaczamy następne dane otrzymane z poślednich ćwierci wołu:

	chudego	tłustego
Wody	76,5	50,5
Tłuszczu . . .	1,3	34,0
Włókna mięsnego	21,0	14,5
Soli mineralnych.	1,2	1,0
	100	100

Różnice te również są dość znaczne w mięsie acz pochodzącem z jednej sztuki bydlęcia w różnych jego gatunkach tak dalece, że gdy poślednie części zawierają w sobie 50% wody to niektóre gatunki przedniego mięsa mają jej do 75% i więcej, która naturalnie skutkiem żaru ulatnia się kosztem konsumentów.

Różnica ta wszakże nie wywięzuje się z większej ilości materyi azotowych, lecz z większej ilości tłuszczu i przekonywa, że mięso nie jest wyłącznie azotowem pożywieniem, ale że i tłuszcz ma również znaczną pożywną wartość, który z korzyścią roślinnym zastąpić można. Zawartość tłuszczu w mięsie zależną jest wyłącznie od sposobu życia zwierza i tak: dziczyzna, ptastwo domowe, z powodu ciągłego i bezustannego ruchu mają mięso nadzwyczaj w tłuszcz ubogie; bydło, owce mają go zaledwie od 1 do 3%, a trzoda chlewna stosunkowo bywa w tłuszcz najbogatszą. Światło słoneczne i ruch są głównemi przeszkodami w wyrabianiu się tłuszczu i dla tego w Anglji tuczenie wszelkich zwierząt domowych na rzeź przeznaczonych, ma miejsce w piwnicach na ten

cel urządzonych, pozbawionych zupełnie światła dziennego.

Doświadczenie przekonywa iż nie wszystkie części mięsa są równej dobroci, smaku, pożywności i nie dadzą się do jednych i tych samych celów zastosować. Jedne bowiem są lepsze smażone, drugie duszone lub pieczone, inne gotowane lub przyrządzane na właściwy sposób jak marynaty, galaretę i t. p.

W ogóle mięso starych zwierząt, zawiera więcej krwi i włóknika, mniej zaś wody i cieczy mięśniowej. Włókno zwierząt młodych jest cieńsze, delikatniejsze i strawniejsze niż starych, z wyłączeniem cielęciny, pochodzącej z bardzo młodych cieląt, gdyż włókna jej nader zwolna rozpuszczają się w kwasie żołądkowym i daleko trudniej niż wołowina lub mięso z drobiu lądowego; niedobrym jest przeto pożywieniem dla osób mających żołądek osłabiony. Kastraty mają mięso delikatniejsze i soczystsze, niż matki i reproduktorzy. Co do strawności, mięso ptaków lądowych z wyłączeniem wodnych jak kaczek lub gęsi, ma pierwszeństwo, po nim idzie czworonożna zwierzyna, z wyłączeniem znowu mięsa pochodzącego z dzików (Sus scrofa aper), dalej wołowina, baranina, wieprzowina, ryby, cielęcina, żółwie, raki. Ostrygi najniewłaściwiej uważają się strawnemi, gdyż mięso ich przeważnie składa się z białka, nader trudno rozpuszczającego się w soku żołądkowym.

Środki przyrządzania mięsa, przeważnie wpływają na jego mniejszą lub większą strawność, a tem samem i pożywność. Mięso pieczone, duszone, smażone jest daleko strawniejsze niż surowe, solone lub wędzone.

Mięso przeznaczone na rosół powinno pochodzić z świeżo zabitego bydlęcia, nie należy go wcale nie tylko moczyć ale nawet płukać, w rosole spożywane bywają prawie tylko bezazotowe pierwiastki mięsa i sole nieorganiczne w nim zawarte. Prócz tego nieco kleju, kreatynę, oraz kreatyninę zawierające azot, które wszakże nie mają pożywnych wartości. Najcenniejsza część składowa mięsa białko (albumin), ścina się w gotowaniu na szare kłaczki które w trakcie szumowania rosołu są wyrzucane. Rosół więc zawiera w sobie nie wiele pożywności, jedynie tylko sole nieorganiczne pochodzące z mięsa, ułatwiają trawienie i przyczyniają się do wytwarzania krwi. Ekstrakt Liebiga ma jeszcze mniej w sobie niż rosół pożywności, gdyż nie dostaje mu białka i tłuszczu, a znajdujące się w nim ciała azot zawierające, wcale nie są pożywne. Ekstrakt ten ma tylko względną wartość, to jest tę, że przydany do innych potraw jako przyprawa, z powodu soli w nim zawartych, okazał się pożytecznym.

Amatorowie białej sztuki mięsa, chcąc jej nadać smak lepszy i uczynić więcej pożywniejszą powinni włożyć mięso do wrzącej wody i w niej gotować takowe. Skutkiem tego znajdujące się w mięsie białko zwierzęce ścina się i części tłuszczowych zawartych w tymże mięsie nie wypuszcza z siebie. W takim razie rosół, jako pozbawiony swych naturalnych własności, należy podbić śmietaną lub żółtkiem od jajek i przerobić na jakąkolwiek zupę.

Jak mięso przeznaczone na rosół powinno pochodzić z świeżo zabitego bydlęcia, tak znowu do pieczenia, duszenia lub smażenia niezbędny warunek, aby z parę dni odleżało się w lodowni lub chłodnej piwnicy, przez co w smaku staje się soczystszem, delikatniejszem i kruchszem. Nie należy go również moczyć w wodzie, niechcąc tracić najpożywniejszych i najsmaczniejszych pierwiastków, które woda w siebie pochłania, ale wypłukać jeśli nie w samym occie, to przynajmniej w wodzie nasyconej octem i małą ilością soli kuchennej. Pieczeń z rożna jest nieporównanie soczystszą i delikatniejszą niż duszona w rondlu. Mimo ulepszonych konstrukcyi pieców, nie może jej dotąd wyrównać żadna duszona w najrozmaitszy sposób, z powodu jednak wysokich cen drzewa, znacznej objętości ogniska, a przytem większego około niej zachodu, jedynie w zamożniejszych domach, lub pierwszorzędnych jadalniach publicznych, może mieć miejsce. Większa pożywność mięsa pieczonego, smażonego i duszonego niżeli gotowanego, stąd pochodzi, że jako wystawione od razu na wysokie działanie temperatury ciepła, zatrzymuje w sobie białko, które jak wiadomo nietylko zwierzęce ale i roślinne w 70° C. nagle krzepnie i przestaje być w wodzie rozpuszczalnem.

W końcu dodać należy, że krew zwierzęca zawiera około 20% części stałych z których 17 do 18% stanowią pierwiastki azot zawierające, resztę stanowi tłuszcz, sole i pierwiastki ekstraktowe, krew jest bogatszą w azot od mięsa i wymaga obfitego dodatku wodowęglanów, i tłuszczów, aby była posilną dla człowieka, małe też ma zastosowanie pokarmowe. W Szwecyi ze krwi i mąki żytniej wyrabiają tak zwany *chleb krwisty*, posiadający dwa razy więcej pierwiastków azotowych, niż chleb zwyczajny. W czasie oblężenia Paryża i zmniejszających się zapasów zboża po magazynach, pan Gauttier de Claubry na posiedzeniu Akademji proponował wypiekanie sucharów z mąki z dodatkiem krwi i żelatyny z kości otrzymanej. Suchary takowe były już wyrabiane wedle pomysłu d'Arceta jeszcze w roku 1830 dla armji walczącej w Algerze i wojsko je chwaliło, jako nader posilne, a obok tego odznaczające się i przyjemnym smakiem. Wyrób chleba z dodaniem do niego krwi jest nader ważnej doniosłości ekonomicznej zwłaszcza po miastach więcej zaludnionych, dla wyżywienia klas wyrobniczych, eksponujących codziennie dla bytu swe siły fizyczne, aby im dostarczyć posilnego i skoncentrowanego pokarmu, zwłaszcza przy nie zawsze możliwem regularnym jadle, tym więcej że nastąpićby to mogło umiejętnem zużytkowaniem masy krwi zwierzęcej, dziś w znacznych ilościach po rzeźniach (szlachtuzach) marnowanej bez najmniejszego pożytku,

U nas, w Litwie i Szwecyi jadają polewkę z krwi wieprzowej, prosiąt, kaczek, gęsi (czerninę, zwaną miejscami, jusznikiem lub czarną zupą) spuszczonej na ocet, bardzo posilną i smaczną. Używaną jest również krew do wyrobu kiszek wieprzowych, kontuzów*) i t. p. Wyborną jest również do zrazów lub pieczeni, kasza tatarczana lub jęczmienna podprawiona juszką, a dodawszy jeszcze do niej nieco pieprzu, angielskich ziarnek, majeranku przypomina zupełnie w smaku kiszki w ten sposób wyrabiane.

Ludy dzikie piją łakomie krew zwierząt zarzniętych, lub ubitych na polowaniu; w ucywilizowanych zaś krajach, nauka i doświadczenie, policzyła ją do rzędu środków leczniczych.

---

*) Wyraz powszechnie używany w dawnej kuchni przodków naszych, zastąpiony w końcu XVIII wieku pożyczonym od Włochów za pośrednictwem Francuzów *salcesonem*, zasługuje tem więcej na przywrócenie mu niesłusznie wydartych praw obywatelstwa, skoro rehabilitowanym został przez Mickiewicza w znanym powszechnie jego arcydziele Pan Tadeusz.

ROZMAITOŚCI.

— **Produkcya rolnicza w Anglii.** Żywotną i godną jest ze wszech miar naśladownictwa działalność Anglików w dziedzinie produkcyi rolniczej. Dane statystyczne z lat 1870—1872 takie nam przedstawiają rezultata ich rocznych produkcyi, obliczonych na wartość naszej monety.

Pszenicy	za	230,468,750	rsr.
Owsa	„	130,437,500	„
Jęczmienia	„	122,943,750	„
Bobu i Grochu	„	39,412,500	„
Siana	„	250,000,000	„
Kartofli	„	54,862,500	„
Różnych okopowych roślin . .	„	82,000,000	„
Lnu i chmielu	„	11,862,500	„

Stosunkowo odpowiednie cyfry produkcyi rolniczej przedstawia również i hodowla inwentarzy domowych. W ciągu tego czasu wyprodukowano bowiem:

Bydła rogatego	w wartości	„	498,138,093	„
Trzody chlewnej	„	„	354,323,412	„
Owiec	„	„	15,087,281	„
Koni	„	„	187,500,000	„

Ogólna zatem wartość rocznej produkcyi rolniczej wynosi . . . 1,877,036,236 rsr.

Mimo jednakże tak olbrzymich rezultatów osiąganych na ogólnej przestrzeni 5749 mil kwadratowych, jakie Anglja posiada w Europie, nie wystarczają one jednakże na potrzeby 29,710,031 ludności europejskiej. i w miarę wzrastającego dobrobytu, przywóz rozmaitych gospodarsko-wiejskich produktów, wzrasta do ogromnej cyfry.

W ciągu trzech lat od 1870—1872 włącznie, na miejscowe spożycie ludności przywieziono:

Pszenicy	65%
Mąki pszennej	8 „
„ w innych gatunkach . . .	68 „
Ryżu	113 „
Kartofli	56 „
Bydła rozmaitego	128 „
Mięsa surowego	6 „
Szynek	208 „
Słoniny	41 „
Sadła	72 „
Masła	113 „
Sera	113 „
Jaj	178 „

OD REDAKCYI.

Ognisko Domowe, wychodzić będzie w drugiem półroczu r. b. w tym samym zakresie i według tego samego programu jak dotychczas. Redakcya dołoży wszelkich starań, aby pismo rzeczone uczynić o ile można najpożyteczniejszem i dlatego ma zamiar wprowadzić pewne zmiany i ulepszenia, o których czytelnicy w czasie właściwym uwiadomieni zostaną. Nadto rozpoczęliśmy w pierwszym numerze bieżącego kwartału druk **powieści oryginalnej** obszerniejszych rozmiarów p. *Krystyny Narbutt*, p. n. **„Na mylnej drodze.“**

Cena prenumeraty wyrażoną jest na początku każdego numeru pod kliszą tytułową.

PP. prenumeratorowie życzący sobie odbierać nadal bez przerwy *Ognisko Domowe*, raczą pospieszyć z wniesieniem przedpłaty na kwartał trzeci roku bieżącego. Wszelkie korespondencye w tym względzie najlepiej nadsyłać *wprost* pod adresem Redakcyi, *ulica Ś-to-Jerska Nr. 1769 lit. B. (nowy Nr. 12) róg Nowowiniarskiej.*

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr, 57 Дозволено Цензурою, Варшава 26 Іюня (8 Іюля) 1875 г. Redaktor i Wydawca, **Bronisław Przyrembel.**

PRZYSIĘGA DEBENHAMA

POWIEŚĆ,

przez

Amelią B. Edwards,

z angielskiego tłómaczona.

Tom pierwszy.

(Dalszy ciąg.—Patrz dodatek do Nr. 40).

— Moja najdroższa! rzekł z czułością i pomyślał sobie żej jej jednakowo musi wszystko powiedzieć. Chcę jeszcze więcej pracować i lepiej być zapłaconym za moję pracę. Porzucę muzykę i wezmę się do korzystniejszego zajęcia.

— Porzucić muzykę! powtórzyła panna Alleyne; to niepodobna.

— Dlaczego? Nic nie ma niepodobniego dla tego kto ma silną wolę.

— Ale jakież inne zatrudnienie...

— Niemogę jeszcze teraz nic powiedzieć; wiem tylko, że mam niektóre wiadomości mogące się i gdzie indziej przydać, i że chcę je poświęcić temu co najlepiej mi zapłaci. Czybyś nie chciała być bogatą Julciu?

— Wcale nie, chciałabym tylko być szczęśliwą.

— I zupełnie nie jesteś ambitną?

— Co do tego zupełnie nie, nawet dla ciebie. Pragnęłabym cię widzieć sławnym, ale nie dbam o to żebyś był bogatym.

— Ale to są tylko marzenia, moja ukochana. Pieniądze przedstawiają nietylko wygody życia, ale i uprzyjemnienie jego, działalność jego dobroczynną dla drugich. Nie sposób żebyś o te rzeczy nie dbała, równie słusznie mogłabyś powiedzieć, że nie dbasz o stanowisko i dostojeństwa.

— W samej rzeczy nie dbam o nie, powiedziała żywo panna Alleyne, jeżeli nie są nagrodą osobistej zasługi.

— Gdybym więc był dziedzicem zaszczytnych tytułów i oznak zostawionych mi przez długi szereg przodków, nie byłabyś dumniejszą ze mnie, niż kiedy jestem po prostu Templem Debenham?

— Nie byłabym dumniejszą ani trochę odwiedziała z zapałem i radością. Owszem, pragnęłabym abyś zdobył sam dostojeństwa wyżej cię stawiające od tytułów twoich!

Ale szlachetna ta odpowiedź młodej dziewczyny żadnego echa nie obudziła w sercu Debenhama. Odwrócił głowę i rzekł zimno:

—Jesteś widzę demokratką, nie spodziewałem się zgodzić.

I w tej chwili postanowił, że nic jej nie powie. Jednak gdy wieczorem sam się znalazł w swoim pokoju, serce się jego odezwało i zdziwił się zmianie jaka w nim nastąpiła. Parę dni temu równie jak ona pogardzał wielkościami tego świata. Parę dni temu, byłby także wolał zasłużyć na świetne stanowisko niż je odziedziczyć. Niedbał wtedy o majątek, nie obawiał się ubóstwa, gorąco pożądał sławy,—a teraz? Teraz był Lordem De Benham, Hrabią Świętego Rzymskiego Cesarstwa, dwudziestym dziewiątym Baronem tego imienia, ostatnim męskim potomkiem swej rodziny, bez przyjaciół, bez majątku, posiadającym zaledwie pięć funtów w kieszeni. Były to fakty znaczące i mogące tłómaczyć niejaką różnicę w zdaniach. Zresztą, nie było to zwykłą ambicyą chcieć podnieść starożytne imię i nowym blaskiem okryć wielką rodzinę. Było to więcej nawet niż ambicyą, bo obowiązkiem.

Tak rozumując i pocieszając siebie, doszedł do przekonania, że spełniał obowiązek oczywisty, i pod wpływem tego zadawalniającego wniosku, zaledwie przyłożył głowę do poduszki głęboko usnął.

Nazajutrz rozstali się powiedziawszy sobie kilka słów na ganku, nim p. Alleyne zeszedł.

— Nic nie powiedziałem twemu ojcu, najdroższa moja, rzekł De Benham, nie śmiałem tego uczynić w obecnem mojem położeniu; ale mam wszelką nadzieję, że w ciągu kilku tygodni znajdę zatrudnienie zapewniające mi stałe utrzymanie i wtedy czuję, że będę miał większe prawo odezwać się i większą nadzieję być wysłuchanym.

Panna Alleyne spuściła oczy trochę zarumieniona, i nic nie odpowiedziała.

— Prosił mnie, żebym był u was w Kensington, dodał; czy mi pozwolisz przyjść nazajutrz po waszym powrocie.

— Niewiem kiedy to nastąpi, odpowiedziała panna Alleyne, widziałeś jak mój ojciec nieregularnie pracuje. Może skończy swój obraz za dziesięć dni, a może pozostaniemy tu jeszcze trzy tygodnie.

— Ale mi doniesiesz—będziesz do mnie pisać?

— Jakżebym mogła? Coby mój ojciec powiedział?

— Ale moja droga nie pozostawisz mnie bez wiadomości przez trzy tygodnie? Mogłabyś zachorować—tyle rzeczy mogłoby się zdarzyć! Spodziewałem się, że codzień do mnie napiszesz.

Panna Alleyne potrząsła głową.

— Niemożesz mi tego naprawdę odmawiać! zawołał Temple.

— Bardzo mi przykro, bardzo, ale nie powinieneś mnie o to prosić.

— Raz na tydzień więc tylko, raz na tydzień.

— Nie mogę; to by źle było.

— Źle! powtórzył z niecierpliwością; przecież daliśmy sobie słowo?

Odwróciła się, usta jej drżały, ale nic nie odpowiedziała, dopóki nie powtórzył zapytania.

— Żadne przyrzeczenie nie może istnieć pomiędzy nami, powiedziała wzruszonym głosem, bez przyzwolenia mego ojca.

Przez chwilę nic nie odrzekł, ale kiedy się odezwał, przemówił ze spokojem przytłumionego gniewu.

— Bardzo dobrze, powiedział. W takim razie muszę się rozmówić z panem Alleyne, nim opuszczę Chilligford. Zapewne zaszkodzę mojej sprawie czyniąc to teraz, ale muszę się na to narazić.

— Nie radzę ci bynajmniej z nim mówić, powiedziała łagodnie panna Alleyne, wolałabym żebyś działał jak ci zdaje się najlepiej.

— Ale powiedziałaś że żadne przyrzeczenie...

— To prawda, Temple, ale czyż nie możemy się bez tego obejść... teraz przynajmniej. Bądź cierpliwy mój drogi. Wiem, że mnie kochasz, a ja będę nosić twój pierścionek i myśleć o tobie w dzień i w nocy, dopóki się nie zobaczymy, najdalej za trzy lub cztery tygodnie.

Drugą ręką objęła jego ramie i tak wsparta na nim, patrzała oczami na wpół uśmiechniętemi, na wpół łzawemi.

— Ale gdybyś była chorą!

— Niemam żadnego zamiaru być chorą. Nigdy zdrowszą nie byłam.

— Ale jakże się dowiem o waszym powrocie?

— Wstąp czasem przechodząc do nas i dowiedz się od służących.

— Dobrze. A ty nie pragnęłabyś trochę mieć o mnie wiadomości przez ten cały czas.

— Bardzo bym pragnęła ale wiem, że to nie na długo. A teraz, powiedz mi gdzie będziecie się codzień zatrzymywać, żebym mogła tych miejsc poszukać na mappie i zawsze wiedzieć gdzie jesteś.

Debenham wydarł kartkę ze swego pugilaresu i zapisał na niej nazwiska miejscowości, które on i Arczy mieli zamiar odwiedzić i nim to ukończył p. Alleyne zeszedł i zaczął dzwonić o kawę.

— Przyjdziesz się pożegnać z papą, powiedziała gotowa się oddalić za pierwszym odgłosem dzwonka.

— Ale teraz i tutaj muszę się pożegnać. Moja ukochana, moja jedyna Julio! Moja z taką pewnością jak gdybyśmy byli po tysiąc razy zaręczeni.

Przez chwilę pozwoliła, aby ją objął w swoje ramiona, ucałował, przycisnął do serca.

— Kochasz mnie? zapytał namiętnie.

— Tak wyszeptała. Kocham cię, z całego serca, z całego serca.

I mówiąc te słowa wyrwała się z jego objęć i uciekła.

Pół godziny później, ścisnęli się za ręce i pożegnali wesoło i spokojnie, jak przystoi dobrze wychowanym ludziom.

— Będziemy się was spodziewać w Kensington, powiedział p. Alleyne uprzejmie odprowadzając przez chwilę młodych ludzi.

Oni mu podziękowali, obiecali korzystać z pierwszej sposobności i zamieniwszy wzajemnie życzenia szczęśliwej drogi, wyruszyli z tłómoczkami na plecach i kijami w ręku, jak pielgrzymi dawnych czasów.

ROZDZIAŁ XXIV.

Pierwszy krok.

Można się domyśleć, że ani Arczy ani Temple nie żałowali kiedy wycieczka ich była ukończoną i rozstali się zajechawszy koleją do stacyi w Paclington. Ukazanie się panny Alleyne odjęło wszelką przyjemność tej podróży w oczach Arczy, ale nawet kiedy panna Alleyne została opuszczoną i znów włóczyli się razem po nad rzekami i po ruinach, przez góry i doliny, dawne uczucie poufałości niepowróciło i wszystko przybrało inny pozór. De Benham pogrążony w jednej myśli, był innym zupełnie człowiekiem i Arczy chociaż przypisując tę zmianę fałszywym przyczynom, czuł jej skutki na każdym kroku. De Benham milczący i ponury, De Benham rozmyślający nad dawną świetnością swego rodu, De Benham rozwiązujący zagadkę własnej przyszłości, zdawał mu się być De Benhamem szalenie zakochanym i wiecznie marzącym o pannie Alleyne. Nawet kiedy rozmowa zwracała, jak się teraz wciąż zdarzało, do pieniędzy i sposobów robienia pieniędzy, Arczy śmiertelnie znudzony tym przedmiotem, wierzył ciągle, że jedynym celem jego przyjaciela było zrobienie majątku dla kobiety którą kochał.

Temple ze swojej strony żałował każdego dnia straconego dla urzeczywistnienia swych zamiarów. Na zawsze minęły te urocze chwile, okrywające takim urokiem i taką pięknością całą przyrodę, w których blask słońca, powiew wietrzyka rannego, były radością, natchnieniem, zyskiem bez miary. Wzdychał tylko teraz za pracą i gorączką życia czynnego, za upojeniem powodzenia. Nie żal więc było kiedy wakacye się skończyły i żaden z podróżnych nie miał ochoty ich przedłużyć.

Powrócili w sobotę wieczór, na tydzień przed otwarciem Ś-tej Hildegardy i po pierwszy raz od osiemnastu miesięcy, De Benham znalazł się w Londynie, w niedzielę, bez zatrudnienia. Jakże bardzo cenił taką wolność pięć tygodni temu. Byłby rano zaprowadził matkę do kościoła w Westminster, popołud-

niu udał się do Ś-go Pawła i długi odbył spacer w Ogrodzie Kensington i po parkach i byłby powrócił do domu o zmierzchu, zmęczony i głodny, ale szczęśliwszy od królów. Teraz wszystko się zmieniło. Piękne organy, muzyka kościelna, sławni kaznodzieje, on o to wszystko już niedbał. Posępny i zamyślony przepędził całe rano porządkując swoje papiery, robiąc rachunki, odkładając kompozycye muzyczne, każdą osobno z datą i tytułem jakgdyby na zawsze z niemi się rozstawał. Gdy to zrobił reszta dnia zdała mu się nieskończoną. Przechadzał się bez celu po ciasnych uliczkach sąsiednich, poszedł z matką na popołudniowe nabożeństwo do blizkiego kościołka. Niemiał ochoty mówić, nie mógł czytać, bo myśli jego czem innem były zajęte. Rachował tylko godziny nie mogąc się doczekać jutra.

Jutro przyszło jednakowo, i około wpół do dwunastej znalazł się w kantorze pana Hardwicke, i przez pośrednictwo jednego z urzędników prosił o dziesięć minut rozmowy z samym wielkim człowiekiem.

Urzędnik spojrzał na niego niedowierzająco i napomknął, że mógłby się może rozmówić z głównym buchalterem, panem Knott, i nareszcie dowiedziawszy się że był organistą świętej Hildegardy, poszedł wypełnić jego zlecenie.

— Pan Hardwicke bardzo zajęty, rzekł, powracając po kilku minutach, ale jeżeli pan chcesz zaczekać, niedługo będzie wolny.

Temple powiedział że zaczeka, i czekał przeszło pół godziny, patrząc jak posłańcy wchodzili i wychodzili, i słuchając rozmów urzędników, skrzypienia piór szybko posuwających się po papierze, regularnego ruchu wielkiego zegara nad drzwiami, i ciągłego głośnego turkotu ciężkich wozów przejeżdżających po ulicy. Nareszcie wezwano go do gabinetu pana Hardwicke, ciemnego i wysokiego pokoju, o podwójnych drzwiach, podwójnych oknach, z ciężkiemi meblami mahoniowemi obitemi ponsową skórą, w guście Strathellan House, i mającego, jako jedyną ozdobę, nad kominkiem, portret Aldermana Hardwicka w obywatelskich sukniach, tego Aldermana Hardwicka, który był Lordem Majorem Londynu i po którym niemałą część swych bogactw oddzidziczyła piękna Klaudya.

Pan Hardwicke stojąc tyłem do kominka i trzymając list otwarty w ręku, przyjął młodego człowieka z tym samym grzecznym uśmiechem, chociaż z nie tak nadętą słodyczą jaką mu się podobało przybierać gdy gości przyjmował w swoich salonach.

— Dzień dobry, panie Debenham, powiedział, myślałem że pan za przykładem pana Choakes korzystasz daleko od miasta ze swojej wolności, pan Choakes jest w Szwajcaryi i Ś-ta Hildegarda nie będzie mogła być otwartą nawet w przyszłą niedzielę. Chciałeś pan zapewne wiedzieć kiedy masz do swoich obowiązków powrócić.

— Nie mogę tem wytłomaczyć mojej natrętności, odpowiedział Debenham, przyszedłem prosić pana żebyś był łaskaw udzielić mi swojej rady w prywatnym interesie.

Pan Hardwicke przybrał surowszy wyraz, spodziewając się napadu na swoją kieszeń i spojrzał na zegar stojący na kominku.

— To co mam do powiedzenia nie zabierze więcej czasu nad pięć minut, rzekł Debenham dumnie, jeżeli mi pan możesz udzielić tyle swego czasu.

Pan Hardwicke prosił gościa aby usiadł i odpowiedział trochę sucho, że był na rozkazy pana Debenhama, ale ten, za jego przykładem nie usiadł.

— Znałeś mnie pan jako artystę, powiedział, ale zawód ten jest niekorzystnym pod względem pienięźnym, i przyszłość ta nie uśmiecha mi się. Odebrałem wszechstronne wykształcenie, zdrowie moje jest dobre, i pracy się nie lękam. Ta tylko trudność przedemną leży, że niewiem do jakiej się wziąć pracy; wiem co mogę zrobić, ale nie wiem w jakim kierunku spożytkować moje zdolności.

Czoło pana Hardwicke rozjaśniło się. Sposób prosty i jasny, w jaki młody człowiek wyłuszczał swój interes, podobał mu się równie jak i to, że nie było mowy o żadnej pożyczce.

— Cóż więc umiesz panie Debenham? zapytał z uśmiechem.

— Piszę i mówię gładko po francusku, po niemiecku i po włosku; umiem nieźle po hiszpańsku; znam grecki język a lepiej łaciński; dostałem medal za matematykę, i dość dobrze rysuję, nareszcie, dużo czytałem w mojem życiu, tak, że niewiele jest przedmiotów ogólnego interesu, o jakich nie miałbym trochę wyobrażenia, w razie potrzeby.

— Prowadzenie książek handlowych nie jest zapewne jednym z tych przedmiotów?

— Nie, ale się tego nauczę.

— Jesteś pan także bezwątpienia zupełnie nieświadomy tego wszystkiego, co ma związek z handlem wywozowym i przywozowym Wielkiej Brytanii?

— O handlu samym jak pan mówisz, zupełnie nic nie wiem, ale mam niejakie wyobrażenie o naszych przyrodzonych naturalnych i przemysłowych środkach, i o towarach które odbieramy z zagranicy.

Pan Hardwicke spojrzał na swój list.

— Jest to zapewne niedorzeczne pytanie, ale mam tu list z Liwerpoolu, donoszący o przybyciu transportu pewnego towaru zwanego *chica*. Czy wiesz pan co to jest? ja sam niemam o nim wyobrażenia, chyba że, sądząc po małej ilości o jakiej wzmiankują, jestto jakieś lekarstwo.

Debenham zamyślił się; przypominał sobie że czytał kiedyś to słowo w opisie podróży, ale pamięć nie mogła sobie w tej chwili przywieść szczegółów o jakich czytał.

— Skąd pochodzi ten transport? zapytał.

— Z Ameryki.

Od razu wszystko sobie przypomniał.

— Jest to farba, powiedział żywo, farba czerwona, przygotowana przez Indyan z nad Oryноko, z rośliny gatunku lignonia. Używają jej zmięszanej z tłustością alligatora, do malowania swej skóry.

— Jesteś tego pewny, panie Debenham?

— Zupełnie pewny, czytałem o tem w niemieckim opisie podróży kilka lat temu, i doskonale pamiętam.

Pan Hardwicke zdawał się zadowolonym, kilka słów ołówkiem napisał na liście, i schował go do kieszeni.

— Dziękuję, powiedział. Doskonała pamięć jaką pan posiadasz i liczne wiadomości czerpane z książek, mają swoją wartość. Znajomość kilku języków przemawia także za panem, bo człowiek zajmujący się handlem niemoże ich umieć za wiele, nie źle by było gdybyś dodał rosyjski, portugalski i tegoczesny grecki do tych, jakie już posiadasz; a łatwo by ci przyszło nauczyć się ich, umiejąc już po grecku i po hiszpańsku.

I nie dając Debenhamowi czasu odpowiedzieć, otworzył szufladę w biorku i wyjął plikę listów mających obcą powierzchowność.

— Oto są, powiedział, dwa listy od dwóch moich zagranicznych korespondentów, pana Empedoklesa z Aten, i pana Villada z Lizbony jeden po grecku, drugi po portugalsku. Czy będziesz je pan mógł zrozumieć?

— Nie wątpię że będę mógł przeczytać list z Portugalii, odpowiedział Debenham; mniej jestem pewny greckiego, ale spróbuję.

To mówiąc, wziął listy i poszedł do okna, bo pisma były dziwne i nieczytelne, a pokój ciemny, i zaczął ciekawie im się przyglądać.

Tymczasem pan Hardwicke przysunął stołek do biórka i śpiesznie napisał parę listów, cicho ciągle pośpiewując i spoglądając czasami na gościa. Potem zadzwonił i posłał listy na pocztę, jeden z urzędników przyszedł do niego z rachunkiem, ale to wszystko nie zajęło więcej jak dziesięć minut, przy końcu których Debenham oświadczył, że mu się zdawało że rozumiał treść obydwóch listów.

— Pan Villada, zdaje mi się, powiedział, żałuje że się pomyłka stała co do ostatniej przesyłki i donosi że nowy transport jest już w drodze do Londynu. Dodaje także, że jeden z jego przyjaciół, pan Montalba, weźmie towary niepotrzebnie posłane, i zabierze je z pańskich składów swoim kosztem, jak tylko pan sobie będziesz tego życzył.

Pan Hardwicke, zaglądając do wielkiej księgi leżącej na jego biórku dał znak potwierdzający.

— Bardzo dobrze, panie Debenham, powiedział, bardzo dobrze. Co do mnie znam tylko język francuzki, ale w tej księdze mam treść wszystkich ważniejszych listów zagranicznych, twoje tłómaczenie zupełnie się zgadza z mojemi wyjątkami. A teraz cóż o liście pana Empedoklesa?

— Niewiem czy dokładnie rozumiem myśl piszącego, odpowiedział Debenham, szczególnych skróceń używa i greckie litery, trudne są do odczytania. Zdaje mi się jednakowo, że przedstawia panu, swego siostrzeńca pana Demetryusza Michealisa, prosząc dla niego o łaskawe względy podczas jego pobytu w Londynie. Pan Michaelis ma także, jak się domyślam przywieść panu pakę wyborowego wina z Santorynu, o przyjęcie którego pana Empedokles uprasza. Nie mogę odczytać ostatniego paragrafu, odnosi się do jakiegoś pieniężnego interesu....

Pan Hardwicke zamknął księgę i rzekł z najgrzeczniejszym uśmiechem.

— Dosyć, panie Debenham, to wystarcza. Łatwość z jaką rozumiesz obce ci języki, jest dowodem wprawy z jaką musisz używać tych które dokładnie posiadasz. Bądź łaskaw zostawić mi swój adres; będę pamiętał o twoich życzeniach i starał się przy sposobności zadość im uczynić.

Kiedy młody człowiek jeszcze swoją wdzięczność wyrażał i wyjmował swój bilet, ten sam urzędnik, który z nim mówił w kantorze, wszedł przynosząc telegram.

Pan Hardwicke rozdarł kopertę i przejrzał szybko pismo. Debenham złożywszy swój bilet na stoliku wziął kapelusz, ukłonił się i w milczeniu poszedł ku drzwiom.

Pan Hardwicke, zakłopotany i zagniewany, podniósł oczy, kilka razy spojrzał to na telegram to na Debenhama, zdawał się chcieć mówić, ale się zatrzymał, aż nareszcie kiedy drzwi się już zamykały za odchodzącym, zawołał.

— Zatrzymaj się pan! tylko jedne chwilę.

Młody człowiek odwrócił się, trzymając rękę na klamce.

— Zamknij pan drzwi, powiedział p. Hardwicke, zamknij drzwi i przybliż się.

— Ton ten rozkazujący nie bardzo się podobał Debenhamowi, to też zaczerwienił się gdy wszedł i drzwi za sobą zamknął.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Druk S. Burzyńskiego, Nowy-Świat Nr. 57.

Дозволено Цензурою, Варшава 22 Іюня (4 Іюля) 1875 г.